1

Paryż 21/XI 900.

Bebeka ~~do ..~~

~~Schodzi z~~ Z wąwozu wychodzi skalnego na ~~ot~~ zieloną piękną przepyszną łąkę. Otoczona, ~~ono objęte~~ [illegible] w zieleni [illegible] pada. Idzie, przed siebie patrzy, biegnie się naprzód rwie, dalej, dalej!

Sióstr-dziewic kilkanaście na łące igra. Jasne sploty w słonecznym kąpią się blasku. Kwiaty łąk przypięły ku dziewczętom, — postacie ich wdzięczne unosić się zdają ponad ziemią. ~~Różo~~ Różane usta rozchylają się promiennym uśmiechem, drobne rączęta w takt tanecznicom klaszczą. ~~U jednej z nich figlarne złotawe loczki~~ Sukienki ich białe, różowe i nieba koloru. Takie barwy młode, takie młode dziewczęta. I piosnki nucą. ~~ot~~ Czasem któraś z nich podskoczy figlarnie, inne zaśmieją się głośno z towarzyszki, a rozpogodzone niebo sieje na nie ~~z~~ wszystkie promienie południowego słońca. ~~Ptak~~

Śpiew ptaków dochodzi z pobliskiego gąszcza leśnego; głośne ćwierkanie

świerszczów i koników polnych za t[illegible]
strzy głosem dziewczęcym. „Marysia
Żółtna, Słoneczko! woła z nich jedna
śmiać mi się chce, śmiać jak najser-
czniej potrafię” — i śmiech wszyst-
czterech płynie po gładkiej zielonej
łące, a słonko dogrzewa, a ptaki śpie-
gocą, a koniki polne skaczą na zie-
lonych nóżkach!

Rebeka z wąwozu wyjrzała skalnego,
na łąkę spoglądała. Podbiegły ku niej
dziewczęta, wdzięcząc się i miłe, głośnym
śmiechem jeszcze nabrzmiałym, do swego
proszą ję grona. „Siostro, siostrzyczko
nasza — zabawa nam idzie sporo, roz-
grałyśmy się serdecznie, nasze chodź u-
powiększyć Tra la la, Tra la la, o-
ta i śpiewa pociesznie, ach posłuchać
jej warto, Maryś nasza nasza
pieszczota miła. — Rebeka nic nie
odpowiada. Zdziwiły się dziewczęta, po-
~~stanęły~~ patrzały na jej skupioną postać
z zdziwieniem na nieznajomą spoglądały
Taka ona inna od nich była. Jej

włosy nie zwijały się w figlarne sploty i w oku jej nie świeciła życia swoboda. Coś od niej wiało im nieznanego, nie słyszały o tem ani z piosnek swoich, nie widziały nigdy wśród towarzyszek wszystkich. Zdziwione przystanęły i ~~jej~~ wzrok pytający na dziewczę zwróciły. Kto jesteś, zdawały się mówić, skąd wzięłaś się pomiędzy nami. A ona ~~dziewka~~ im rzekła: Dobrzeście siostry, siostrę wam jestem, — ~~stamtąd~~ z kamiennego ustronia górskiego przychodzę. Sama byłam z duszą moją własną. Ona mi drogę wskazała ku krainie poznania — idę więc. Czy wiecie gdzie dalej szukać mam drogowskazów? — Nie pojmujemy Cię odrzekły, — my nigdy nie szukałyśmy dróg żadnych. Tu na tej łące igramy ~~dwo~~ ~~wesołe~~ dziewczyny, jedyną troską naszą, by sukienek o dzikie krzaki głogu nie rozedrzeć, ~~bob~~ nie dać się przekrzyczeć wilkom z pobliża, ani ~~nędzy~~ ~~naszych nie skalecz ani~~ żeby z trawki zielonej nie otrząsnąć wszystkich rosy perełek.

Bo zwiędłyby wkrótce te ładne maje, a
wśród nich patrz ile kwiecia barwne
patrz jakie główki mają strojne. O[d]
nich uczymy się szyć i nasze sukienki
a od tych kłosów dojrzałych wzięłyśmy
miarę splotów naszych. Żegnaj – żegnaj
patrz, drobne ptaszę wypadło z gniazd[a]
biegnę ku niemu – obyż sobie nie uszko-
dziło skrzydełek. Pobiegła – zostały
przy niem. Dziewka patrzyła na nie
chwilę – spytała: drogi nie znacie moj[ej]
Nie, nie znamy żadnej drogi – odrzekły
– Bo ja ją ~~w sercu~~ w sobie noszę, po co m[am]
pytać was dzieci-kobiety. – Poszła.
Ścieżką przeszła szybko nie patrząc na
miękkie, rozkoszne trawy – kt. wznoszą
się do jej oka. – Szczebiot młodych dziewcząt
śpiew melodyjny ptasząt nie zatrzymał jej na
chwilę. Nie szczęść ją odpoczynek. Prag[nęła]
nie miała w sobie świata innego – sta[ła]
dalej. – Dziewczęta zostały same i zaw[...]
do wesołych wróciły splotów. Jedna z a[...]
skoczną zanuciła piosenkę, i wszystk[ie]
wzięły ~~się~~ się za rączki, drobnymi p[...]

biegnące nóżkami. ~~[illegible]~~ Ze skalnego wzgórza wychyliła się postać inna. Młodzieniec piękny z roziskrzonem okiem, w zarzuconym na ramiona płaszczu podróżnym. Tak mu w nim do twarzy było (?). On miał czarne ~~[illegible]~~ wijące się włosy, płeć świeżą zabarwioną purpurowym rumieńcem, a płaszcz utkany był z białej wełny i tło ~~jasne~~ wdzięczne stanowił. Fałdy jego układały się malowniczo i ~~tak owijały postać młodzieńca~~, że na wysmukłej postaci młodego. ~~[illegible]~~ Myśl głęboka znać mu wryta w czoło (?).

Szedł krokiem lekkim a zwinnym z zamyśleniem spoglądając przed siebie. On jak i rzeczka ku wielkiemu dążył celowi. Gdzie był kres wędrówki jego – nie wiedział, czuł jeno, że długa czeka go jeszcze droga, ale i siły czuł młodzieńcze w sobie, co go po tej drodze wieść będą. Dziewczęta z łąki pląsały wciąż wesoło. Ujrzał je młodzieniec i przystanął zdumiony, takie mu się wydały wdzięczne w swoich różnobarwnych sukienkach. Jakiś

jaskrawy płomień przeleciał po policzkach dziewcząt. ~~Zarumieniły się, potem na~~ spojrzały na młodego, zarumieniły się potem mgłe oczy spuściły ku ziemi. On je ogarnął wzrokiem. Jakie ładne jakie milutkie istotki! Na tle zielonej łąki to były barwne motyle — lecz stokroć jeszcze wdzięczniejsze. Klaudiuszowi krew młoda ~~polała~~ rozlała się gorącym strumieniem. Dziewczęta w popłochu stadły trzymając się wszystkie za rączki, niem ~~te~~ takie, niepewne siebie, jak dzieci drobne. — Nagle najśmielsza z nich Staszka — wybuchnęła serdecznym śmiechem „Siostruchne miłe, czyż mamy się bać nieznajomego," stoi przed nami młodzian piękny, poprośmyż go do tańca naszego. Inne spojrzenia lękliwe rzuciły w stronę Klaudiusza. On ~~przystał~~ do równowagi przyszedł, tylko mu oko ~~błyszczało za~~ zaiskrzyło się drobnym ognikiem — i ku tanecznicom podszedł. „Igracie wy" rzekł, „weźcież i mnie do siebie" niech z bliska spojrzę na wdzięczne wasze po

cię." Na te słowa i dziewczęta wzrok swój ku niemu zwróciły. Rozjaśniły im się młode twarzyczki, uśmiech je przebiegł promienny. „Znajdujesz, żeśmy wdzięczne", szepnęła Zosia — „Żeśmy nie strachy na wróble" roześmiała się głośno Stasia. „Tra-la-la, tra-la-la — śpiewaj, śpiewaj z nami, dnie nam na pełnych schodzą, śmiejemy się ku radosnemu słonku, patrz jak promiennym okiem spogląda na nas." I figlarka za rękę ujęła Klaudiusza. Gorąca krew w nim zawrzała, ręki nie wyjął z uścisku dziewczyny i poszedł za nią na zieloną łąkę, gdzie z nią razem i w pośród jej rówieśnic zabawę rozpoczął, ciesząc się sercem całym z dnia jasnego, upajając się urokiem młodych towarzyszek swoich. Dnie mu mijały na igraszkach i śpiewach, tak mu było dobrze wśród przyjaciółek nowych. One wszystkie mu dały młodziutkie swoje serduszka, stroiły się dla niego w kwiaty róży i purpurowe maki. I tak mu się wdzięcznie śmiały. Dobra

kowi swojemu. – Aż już ocknął się Klau-
diusz. Zbudziła się w nim tęsknota za
rozpoczętą drogą, – za dalekim krajem.
Spojrzał na dziewczęta, zdało mu się, że
ich wzrok ~~już~~ dawny odleciał, zdało mu
się że ich i barwne sukienki puste prawie
okrywają postacie. Gdy był dzieckiem
miał lalki woskowe, ale w nich krwi nigdy
zobaczyć nie mógł, i wśród nich zdało
mu się, że kropli krwi nie ma. Powstał
z aksamitnego traw kobierca i zwrócił się
w stronę, kt. poszła Rebeka, nogi
do chodu wyprężył – iść dalej zamierzał.
Dziewczęta głośnym wybuchnęły ~~[illegible]~~
płaczem. Tak były żałośnie biedne, małe
istotki. Żal się ich Klaudiuszowi zrobiło,
ale wszak zostać już nie chciał z niemi,
myślał ~~coby im~~ jakąby im pociechę zosta-
[wić]. Spojrzał na płaszcz swój z pięknej atłasowej
wełny, którym tak często bawiły się owe,
tak często główki na miękkich układały
fałdach, tak często pieściły je drobnymi
dłońmi. Zdjął płaszcz ten Klaudiusz
podał im go mówiąc: „Moja droga

tam, daleko, nie pójdziecie za mną bo za~~p~~braknie ~~tam~~ miękkiej murawy pod stopy wasze, bo słońce tam często groźne przyćmiewają chmury." Dwie dzieci poczuły, ~~strach~~ lęk je zdjął na myśl świata tak strasznego. „Nie dziwię się wszak ~~zawsze na swojej~~ zostaniecie łące, ja się masz, — ja iść pragnę. Płaszcz mój wam zostawiam piękny, bawcie się nim." Dziewczęta pochwyciły za hojnym darem, i — ~~świętą~~ rozłożyły go szeroko przed sobą i jęły przeglądać bogate wzory ~~na~~ tkaniny. „Także sobie zrobię sukienkę jak te arabeski mozaikowe zawołała Zochna, i naradzać się zaczęła z towarzyszkami jakie ~~krój~~ krój przystałby nowej im skrojów. Klaudiusz tymczasem zszedł z łąki, ~~krokiem~~ przyśpieszonym a pewnym krokiem — szedł przed siebie i zniknął dziewczętom z oczu. — Drogę tę dawno porzuciła Siebelka. Szła przed siebie nie pytając ~~nawet~~ o drogowskazy, bo ślad ich nosiła w sercu.

~~Rebeka~~ Wyobrażała ~~sobie~~ wkrótce Rebeka przed
sobą świat inny. Samotna jej ścieżka
zlała się z olbrzymią przestrzenią, ~~na~~ po któ-
rej przesuwały się różne postacie ludzkie.
Szaro było między niemi: Niebo, co się
nad głowami zawisło – nie dawało ja-
snych promieni słonecznych, a przy-
oblekało się w siwe chmury i mgliste
tumany. Czasem wązkie błyskawic krwawych
przebiegały stropy. Pod tą melancholijną
osłoną kryła się również smętna, równie
szara ziemia. Nikt na jej polach nie
zasiewał kwiatów, – na wszystkich zagonach
rosły dzikie chwasty, przeplatane gdzie-
niegdzie blademi zboża kłosami. Było
to biedne żyto i owies małoziarnisty,
z którego szedł chleb dla tutejszej ludności.
Tyle się ku niemu rąk wyciągało!
Stały na tej ziemi nieruchome wody,
pokryte kwiatem pleśni, ~~przesycone~~
siejące z siebie wilgoć i nasiona zarazy.
Nad niemi zwisały rozpłakane wierzby;
zżółkły im warkocze, niektóre straciły mło-
dzieńczą a szara mgła osiadała na nich

bez kroplania. — Bory były na tej ziemi i lasy przerzedzone, ale ~~prz~~ poszumy ich skargę ~~były~~ rozszumiały nieustanną. Łkania wybiegały w niebiosy, albo cisza utajenia bolesnego obejmowała przestrzeń. — A ci ludzie, co się wśród tej smutnej ziemi przyrodzą — jakiż oni głęboki i niezakojony żal nosili w sobie! Rebeka ujrzała wynędzniałą matkę, co chudą piersią głodne probowała karmić niemowlę, a tłum wołał na nią: nierządnica, bękarta powiła. Dziewczyna-matka padła na kamień przydrożny i głowę swoją biedną zraniła krwawo. Otoczyła ją ramieniem swojem Rebeka, dziecinę kwilącą wzięła na ręce i zaprowadziła obydwie do zacisznego miejsca, gdzie wśród wybladłych zbóż i chwastów spoczynek znaleźli. — Szła dalej. Kilkoro ludzi wybierało sobie stalowe motyki. „Moja” wołał jeden, „pierwszy ją ujrzałem, pojdę kopać dno rzeki — złoto znaleść pragnę.” „Nie twoje złoto, nas wszystkich, wszyscy my współwłaściciele nadziei wszelkich” — krzyczał inny, przewyższający

łam o głowę a wiódszy za sobą ludzi
kilkoro. Chcę zapłacić rozkosz u kobie-
ty! Dzieci miotając się jak szalony w-
ołaniu, — mnie oddajdzie klucz od zło-
ta pragnę, chcę mieć ~~bez~~ szczęścia!.. I rzucił
z nożem ostrym przed siebie, ciskając
~~t~~nim w prawo i lewo, aż bolesne
jęki rozległy się wkoło. Siebieta podbieg-
ła do szalonemu, wyrwała ostry sztylet
z ręki i w płotę go głęboko wrzuciła.
Bój wrzał dalej, krwi jednak mniejsze
strumień płynął. — A dalej gromady
smutnych, przygnębionych ludzi — ~~prz~~
spełniało pracę swoją codzienną. Zamie-
nili się w żywe narzędzia, którymi
bat kierował dozorcy i głód ich własny
niedostatek ich dzieci, łon rodziców starych ~~ojców~~.
Budowali ~~g~~gmachy wysokie, tkali wzorzy-
ste kobierce, z piasku przetapiali szkło
przejrzyste, w ciemnicach wydobywali
dla ludzkości ciepło i światło, — orali
tę ohydą ziemię, by z niej wydobyć chleb
czarny. Zatracili oni wszelką barwę
jaskrawszą, kształty ich przybrały jedn-

cechy, cichy smutek, i obojętność bolesna ~~stanowiły tablicy~~ odbijały się w rysach(?). Współistny(?) ~~pod~~ spostrzegłani po skromności a ~~?~~ ~~sta~~ westchnienie swoje przeciw podnosiło. Niebieska jak owa niewiasta Chrystusowa, chustę swoją otarła pot z czoła jednemu. Chwyta w zanadrzu napój chłodzący — ~~poda-ła~~ go do ust mu podała, ~~Wzięła~~ ~~Ta mu~~ wzięła ciężką teczkę jego i ~~pod~~ na górę ją wprowadziła. Wzięła mu boleść na chwil kilka, w oku mu błysnęło rozrzewnienie i poszedł dalej z współbraćmi swymi! — I ona swoją poszła drogą. ~~Napotkawszy wnet~~ ~~sędziwy~~ ~~stał~~ ~~starca~~ ~~siwy~~ Wkrótce spotkała siwego starca. ~~Stał wsparty na~~ Stał na progu chaty ~~swojej~~ swojej, i przed siebie ~~patrzył~~ ~~rozpacznie~~. wzrok wytężył. Taka rozpacz mieszkała w tem oku! Ręce dwoje zwiędłych pomarszczonych — na dwojgu krzywych ramionach — wytężył przed siebie jakby chcąc uchwycić przedmiot jakiś, co mu przed wyobraźnią stawał. Mara to była, nikt nie przechodził

tamtędy cisza i nieruchomość zawsze d...
Starzec ~~głosem~~ wołać począł: „Ach jeste...
chodź, chodź synu mój, córko moja,
moi mali wnukowie, — wy tu jesteście
chadźcie, patrzcie czekam na was." Nikt
nie przychodził, — wtenczas starzec
raz jeszcze wołać począł: „Głos was dobrze
słyszę prawie, blisko wy — wnet już
przy mnie będziecie" — ale głosu żadnego
nie brzmiał w przestrzeni — była cisza samo-
tności i śmierci. „Pójdźcie" wołał starzec
„pójdźcie, litości nademną, samotności
dłużej żyć nie mogę, — ~~wszystkie~~ [illegible]
nieznane z pustki wychodzą do mego idą
serca, ~~grożą już~~ ~~żywcem~~ czarnością mnie,
~~głosem~~ przeraźliwym wyciem ~~od~~ wszyscy
mi nadsełają, — ~~trwogą~~ ~~dreszczem~~ trwogi
przeszywa mi ciało, — wszystkie bóle
zlewają się na mnie. Sam... ja sam...
czyż nikt ~~ku~~ na obronę nie przyjdzie
mojej. — Córko moja, ~~com cię na świat~~
~~wydał~~ poczęłem ciebie w młodości słonecznej
dni moich — twój śmiech dawniej mojej
rozbrzmiewał [illegible] — pójdź do mnie

Synu ukochany, byłeś mi nadzieją przyszłości, byłeś najpiękniejszą gałęzią drzewa mego — och by przyjdź ukoić samotność moją. Niema was, może wy nie słyszycie wołania mego, — ani wy nie wiecie jak ~~ie~~ nieszczęśliwy jestem. — Widzim małego wnuka, — takie miał różowe policzki i włosy złote, — pójdź dziecino mała, dziadek cię woła stary, którego nie chce odebrać mi, na chwilę przyjdź tylko — ludzkim, miłym, ukochanym przemów głosem!" Wzywa cię tylko, — na słowa nie schodzi nikt z krajów dalekich. A na jego obliczu rozpacz i ból straszny widnieją. Ręce nie przestają obejmować przestrzeni, w której taka sama jak i przedtem pustka. Babcia wtedy ku samotnemu podeszła. „Ojcze biedny" w samotni życia twego mnie znalazłeś. Idę z tobą. Do chaty mej pójdźmy, — spoczynek ci potrzebny, i ukojenie żalów twoich." „Tyś nie córka moja" zapytał starzec, „Jam także dziecię ~~tw~~ ojca mego

odrzekła i wsparłszy na ramię starca, odprowadziła go do domu jego. Przygotowała mu spoczynek i posiłek i brodę długą gładziła stare oczodo jego. „Jam już nie samotny ~~samotny~~ nie sam” cichym głosem szepnął starzec, uśmiech ~~radości~~ prawie ~~prawie~~ twarz mu rozjaśnił, skołatana głowa pochyliła się na ramię dziewki i sen najspokojniejszy ~~spokojny ogarnął~~ go. ~~Był to sen ukojenia i śmierci. Do grobu poszedł bez~~ Zakończył dni swoje w „spokojności przyniosłam” szepnęła Rebeka „zostanę z tobą, nie minie życie twoje”. Lecz on już słów jej nie słyszał. Sen ukojenia stał się snem śmierci zawarem. Zszedł z świata cierpień i bólu ~~w~~ w ostatniej chwili nie czując cierpień własnych. Śnił, że obejmuję go ramiona ukochanych dzieci i wiodą do krainy gdzie go za męki nagroda czeka. A tymczasem ciało jego zastygło ~~i w zimnej sprostę trupa~~ i ślad istnienia pozostał tylko w zimnym sztywnym trupie! Matce-ziemi oddała go Rebeka i łzę uroniwszy współczucia swoją poszła drogą. Przebyła olbrzymią

przestrzeń na której rozwijały się i rosły i więdły i śmiercią ginęły istoty ludzkie, okiem objęła świat ich niewielki, a tak wielkich bólów siedlisko — i przeszła mimo nich, ~~na swoją w~~ własna ją wiodła droga. Była ona dalej nieznana i samotna.

I Klaudjusz wszedł w zbiorowisko ludzkie. Pełen był jeszcze dziewczęcego szczebiotu tych siostrzyczek różowych ze słonecznej łąki, myśl jego ~~naz~~ naprzód biegnąc, przystawała jednak chwilami ~~ws~~ odsłuchając dalekiego echa. Lecz nie długo to trwało. Przyszło zapomnienie chwil uroczych, a nowe widoki opanowały wzrok i serce. W ~~stanu~~ wszedł ludzkie; sprawy. Przed nim olbrzymia, granitowa skała cień posępny rzucała dokoła siebie. ~~Cień był t~~ ~~Skała była tak wy~~ ~~Cień by~~ Zakryła wszystkie słońca promienie tak że u stóp jej ~~nie~~ rosnąć nie mogły chude zboża kłosy, z których ludzie pożytek czerpali dla siebie. Więc gromada ich

skupiła się dokoła skały, wydrzeć ~~jej~~
chciwszej mocy ten szmat biednej* ~~któ~~
~~dawał się za swoją mieć własność.~~
ziemi, by zasiać na nim ~~nasiona~~ ziarna, co w
przyszłości głód ich zaspokoić miały.
Ludzi tych było kilkoro. Każdy ~~[illegible]~~
stalowy oskard trzymał w ręku i ude-
rzał nim w ~~granitową~~ kamienną opokę. Ale
każdy z innej uderzał strony. Siły
ich wyczerpywały się, lecz [illegible] na wa-
granit stał nienaruszony, a cień jego
długim ogonem ciągnął się po ziemi.
Klandinisz, co stał opodal — pojął, że
praca każdego z osobna bezowocną będzie
lecz praca wszystkich razem — skałę
poruszy. Przyszedł ku ludziom i zgroma-
dził ich przy ~~wschodniej~~ zachodniej stronie olbrzy-
miego głazu i wskazał by wszyscy
uderzyli jednocześnie. Sam rękę ~~[illegible]~~
porwał młot stalowy i pomagał
braciom. ~~A~~ Nie ostały granity
przed parciem sił ~~potęż~~ złączonych.
Runęły głazy — a wschodzące słońce
rozjaśniło oblicze pracowników. — Kla-

Dusz szedł dalej: Przeciw niemu postępowała smutna gromadka ludzi Kitharyzi. Kobiety i mężczyźni szli społem – wyciągające przed siebie drżące ręce, odczuwając nimi przeszkody, jakie im na drodze stały. Byli to chorzy, ślepcy. Powieki im się zrosły nad ocznemi głębiami i nie przepuszczały światła do orbit. Oczy ich chore nie były, należało tylko pomódz im do przebicia zasłony, która je otoczyła, a źrenice ich wyjrzałyby innym dokoła. Klaudiusz miał z sobą tęczowe złote, w ~~lekarskich~~ ostrych doradzane księgach. Zrobił z nich napój gorący i dał go wypić ślepcom. Przejrzeli wszyscy i okrzyki radosne z piersi im ~~wyrwały~~ wybiegły. Jak piękny wydał im się ten świat dokoła, ~~nie widzieli~~ jaki otworzył ich oczy, nie wiedzieli jeszcze, że po niej nadejdzie noc bez światła i że nawet w dzień biady tysiące cieniów przewiją ~~tę między~~ się po zalanej słońcem ziemi. ~~Zostawił ich Klaudiusz w upojeniu radosnem,~~ – sam kroczył

~~swoją skierować dalej~~. Kiedy podniósł
się z ziemi człowiek co patrzył na nie-
i uzdrowienie ich widział i ujrzał
go Klaudiuszowi. ~~Kto jego był nieprzewny~~
Z twarzy mu wyziérało widmo ~~śmierci~~ śmierci
ciało miał ranami przebite, a z każ-
rany życie — krew wyciekało ~~przez~~
~~strugą~~ „Uleczyłeś ich" rzekł do Klau-
dza słabym głosem „i mnie ulecz; pa-
rany moje krwawią — ja ich zatamować
nie umiem, uczyń to sztuką swoją." Kl-
dyusz na chorego spojrzał i ~~ujrzał~~ poznał, że
śmierci zbliża się ku niemu. Życie zeń
uciekało wszystkimi drogami, ~~ratunek~~
żadne nie pomogłyby ludzkie leki; ~~więc~~
jako nie mógł ~~[illegible]~~ młodzieńcowi ni-
uczynić dla niego — powstał i swoją podróż
~~swoją~~ drogę. Rany chorego jątrzyły się
coraz krwawiej. — Niebawem ujrzał p-
sobą Klaudiusz ludzi ~~głodnych~~ bardzo
nędznych, którym głód ścięgnął rysy twa-
i ciało biedne wyniszczył. ~~Patrzy nie się~~
~~plastrem [illegible]~~ bólu, co ich wnętrzności
targał; ~~bezradni stali nie wiedząc co~~

~~na nich zeszło cierpienie, jak mu zła-~~
~~pić. szczeblików. cierpieniem temu spo-~~
~~kojnym~~. I zobaczył ~~Władysław~~ co znaczy
głód ludzki. Oni, ci łakomi, z ~~ludzi~~
co ~~w~~ imię nosili człowieka — podobni stą-
li zwierzętom dzikim ~~co dopiero~~ ~~kowany~~ wy-
dzierającym (łup krwawy) ~~sobie~~ z paszczęki. ~~To~~ Łup ludzi tych
był tak nędzny! ~~Kruszyna chleba czarne-~~
~~go z nędznego ziarna, którą nędzarz naj-~~
~~szczęśliwy posiągnął~~ a takie straszne
między sobą walki toczyli o niego. ~~Zapała~~
im oczy do nędznej chleba kruszyny,
którą z nich jeden na śmietnisku znalazł
(i do ust ponosił chciwie) ~~i porwał chciwie~~ „Nie dajmy," wołali
z nich (za) ~~z nami~~ dzieli ~~się~~ z nami". Rzuci-
li się wszyscy na bezbronnego, wydrzeć mu
chcą ten kęs biedny. ~~Takie wśród nich~~
~~powstawały~~ Żaden z nich nasycić by się
nim nie mógł, — lecz głód im (wzrok) ~~oczy~~
zaciemniał i nie widzieli sami co czynią.
~~Pośród walki~~ I nie widzieli co się w koło
nich dzieje. Ot ~~tuż~~ (opodal) ~~obok nich świat inny~~
~~dla~~ Wznosił się pałac bogaty ~~z obłoc-~~
w którym biesiadnicy zgromadzili się

na nowo wspaniała. Bogato przy-
jęte stoły uginały się pod wykw-
itnemi daniami, a strumienie wina tryskały
z pozłacanych ~~naczyń~~ puharów.
Biesiadnicy zasiedli dokoła stołów,
lecz wzrok ich nie błyszczał pożą-
daniem na widok ~~bogatego~~ obfitego jadła — sy-
ci byli i pokrzepieni, — a przyszli tu ze zwy-
czaju, jak codziennie przychodzić zwykli.
Smok mieszkała wśród nich; ~~jaśniejąc~~
~~światła z tą samą jednostajnością wspa-~~
~~niałości w rozy, widzieli jako blask w połu-~~ zawsze
~~dnie~~, wczoraj i dziś i jutro siedzieć
im dokoła zastawionych stołów, pod blask-
iem świec jarzących, wpośród uwielbienia
samych siebie, z ospałą myślą, ze znu-
nym duchem. Lecz ~~myśleli~~ zdawało im się, że to jedyna
droga ~~do~~ szczęścia, więc srebrnozłotymi
łyżkami nabierali potrawy na ~~swoje~~ i
~~mówili, że się że radzi~~ się z ~~drżeniem czego~~
~~pragnęła~~ i jedli je — ~~głodu~~ smaku nie czując.
Tam po za kryształowymi szybami,
~~ta~~ szakal głodu szarpał wnętrzności
gromady ludzkiej. A ona sama kędy bła-

w walce ~~o marny kęs chleba~~ wydzierając
sobie marny kęs chleba podniesiony ze
śmietniska. ~~Klaudiusz wszedł~~ wtłaczał
~~w to ludzkie mrowisko~~
Klaudiusz wszedł wśród nich, jednego ~~po jedne~~
~~nego w~~ za ramię wziął i powiódł z sobą,
inni – poszli za nim. Przyprowadził ich przed
kryształową zasłonę, po za którą widniały
stosy jadła, a wesoły ogień buchał
z komina. „To wasze" zawołał Klau-
diusz „starczy na wszystkich, jedzcie,
syćcie, odejść muszę". Ręką silną,
młodą, – stłukł kryształową przegrodę
i wszyscy za nim wtłoczyli do wnętrza
izby biesiadnej i głód swój nasycić
mogli. – Zostawił ich Klaudiusz w pogań-
skim pałacu, – ~~sam w dalszą udał się~~
~~drogę. Zabiegła mu~~ ~~pianie~~ na wędrówkę
dalszą poszedł. Zabiegło na drogę ludzi kilkoro
niewiasty i męże wszyscy wiekiem pochy-
leni ku ziemi, wszyscy z niemą boleścią
w twarzy. „Pomogłeś im" przemówił trzę-
sący się stuletni starzec, „i nam dopomóż.
Lata nas gnębią. Na ziemi tej samej

żyjemy co w wieku naszym młodzieńczym
ale ~~jakżem~~ innem jest dzisiejsze istn[ienie]
nasze. Synu, ja już nie czuję rado[ści]
żadnej! Patrzę na wszystko co cieszy
wnuki moje, a w sercu odnaleść nie
mogę nuty żadnej, by z niemi jednę pie[śń]
śpiewać. ~~Ździeśći~~. Słońce wschodzi,
ku niemu śmiać się nie jestem zdolny
a dawniej śmiałem się ~~tak~~ głośno! Oni
wszyscy ci młodzi ~~[illegible]~~ w pochód ruszają
przed siebie, — ja nie wiem gdzie oni
idą, a w sobie sił już nie mam by iść
z nimi; a wzrok je młodzieńczo wiódł
innych przez życia drogi! Wróć mi da[wne]
~~tamte~~, wróć mi tamte czasy, bo jeste[m]
ja ~~żyję~~ tu przed tobą ~~potem~~ starzec, czyż życie
jest ~~istnienie~~ moje, ~~gdzie~~ tamtego
pragnę z młodzieńczych dni dawnych!
I rozszlochał się starzec płaczem żało[snym]
a ci, kt. szli z nim wtórowali mu trz[...]
Klaudiusz popatrzył na nich i ~~dalej~~ ×
~~posród, aż ich oczy nie mógł.~~ Oni
zostali w swemi braćmi — on na górze
wyszedł odludny, i dalej środ, ~~dalej~~
pojedzie, i pośród dalej

× a gdy oni też swoich i płakać nie zaprzestali rękę do nich ~~z drogi~~, ~~[illegible]~~ wam nic nie pomoże, z drogi m[...]

ku wielkiemu celowi swemu. Droga jego była tę drogą, kt. przed chwilą przebyła Rebeka. Ona najpierw szła gościńcem samotnym, aż napotkała ~~przed sobą~~ starca który dokoła siebie miał rozłożone księgi olbrzymie, i pergaminowe ~~zwoje~~, i ~~tabli~~ Przejść chciała mimo niego, lecz starzec wpoprzek jej stanął i na księgi wskazał. „Nie pójdziesz dalej, póki nie poznasz się z ich treścią" i podał Rebece z ksiąg jedną i zwój jeden nieznanego pisma. „To na początek" rzekł. „Tamte również znać musisz – inaczej droga przed tobą zamknięta." Pierwszy raz w życiu swojem Rebeka ujrzała ksiąg tyle. Obce jej były [illegible] że ~~pier~~ początkowe ich ~~znaki~~ pojmowała zaledwie, więc lęk ją wziął, że nie podoła wszystkim, że nie ~~obejmie~~ zejmie ich umysłem. Ale gorąca chęć dalszej podróży i myśl o dalekim celu dodały jej odwagi. „Poznam was wszystkie" rzekła do ksiąg „i pójdę dalej." Zapał i wiara rozgrzały jej serce i sił przyczyniły. Umysł rozjaśnił się czuciem i treść ksiąg przyswajał sobie. Nawet nie była

to ciężka dla Rebeki praca. Z każdą chwil
~~pojmowała lepiej; z każdą chwilą~~ Księgi staw
się bliższe jej, coraz je lepiej poznawała.
reszcie objęła wszystkie umysłem. Wten
starzec otworzył przed nią bramę i przesła
nią na dalszą drogę. – Klaudjusz idący od
ludzi przybył przed ~~stało~~ wiedzy strażnicę
i ten starzec księgi mu wskazał, ~~mu~~ takie j
~~i Rebece pozostawi~~ toż samo co i Rebece uda
o dalszej drodze. Księgi i zwoje nie obce
były Klaudjuszowi. Tyle razy widział je w
rodzinnym. Ojciec i dziad jego i ojciec
mieli je u siebie, czytali i jego czytać uczy
Już młodzieniec przeglądał je tylko, treść
łatwo przypominał i oświecony przeszed
przez bramę strzeżoną przez starca na
dalszą drogę. – Za chwil parę zrównał
z Rebeką. Odtąd razem iść zaczęli. Dwo
ich było na tej ~~życia~~ ścieżce, – cel przed
daleki, cel o którym śnili oboje, że pięk
jest nad świadomość wszelką. Ona także o
czała w sobie na myśl każdą o celu przysz
a myśl ta nie opuszczała jej prawie, ~~się~~
w źrenicach Rebeki stały jasne promien

i twarz jej przybrała na się oświetlane blaski.
Klaudiusz również cel swój kochał serdecznie
śnił o nim od lat chłopięcych – przez tyle
szedł w pogoni za nim i zawsze szedł.
Więc tak oboje postępowali obok siebie,
~~a w sercu obojga jednakie tkwiły wskazówki~~
~~o dalszej drodze~~ (:) ~~znajdowały się drogowskazy~~
~~dalszej ich drogi.~~) ~~do~~ w jedną dążąc stronę,
tęskniąc ku niej i łaknąc jej. – ~~Młodzieniec~~
~~pierwszy spostrzegł kobietę, towarzyszkę~~
Nie widzieli się jednak wzajemnie czas ja-
kiś; młodzieniec pierwszy spostrzegł kobietę
towarzyszkę swoją. Blask wiary który szedł
od niej olśnił go. ~~Począł~~ ~~przyglądać~~
Przypatrzał się w jej twarzy i dostrzegł, że była
bardzo piękna. ~~Ciemne włosy otaczały~~
W piękności tej była szlachetność wielka, ale
i czar wielki zarazem. Klaudjusz czarem
tym ~~przejęty~~ opanowany przemówił
do niej. Rebeka nie odpowiedziała.
– nie doszła uszu jej mowa młodzieńca.
Szli dalej razem, – Klaudjusz ~~nawet~~
zapomniał drogi swojej, ale ona go wio-
dła: naprzód ~~szła~~ – więc szedł za nią. Spotry-

na nię w zachwycie. Raz jeszcze przemó[wił]
Rebeka spojrzała na młodzieńca i krwią
nabiegły jej lica. Jemu serce drgnęło [...]
czuciem, „~~Otóż będzie~~" długiem, gorą[cem]
spojrzeniem ogarnął postać ~~niewieście~~
kobiecą i ~~woli~~ tak ją wzrokiem prosił, by
raz jeszcze zwróciła ku niemu. Rebeka ~~[...]~~
~~[...]~~ ~~[...]~~ twarz mu znowu ukazała, a
na tej twarzy kwitł jeszcze purpurowy ru[mieniec]
młodości. ~~i nie skończ~~ „Towarzyszko m[oja]"
przemówił Klaudiusz, „znasz li ~~tę~~ drogę, k[tórą]
idziemy." „Wiesz ~~dobrze~~" odrzekła Rebeka
„znać jej nie mogę, jak i ty nie znasz. ~~[...]~~
~~jej nie przebywała po raz pierwszy i [...]~~
Raz tylko ~~się~~ przebywać ją można, tak
ku celowi dążąc!" „~~Tyś jest wielka,~~ ~~[...]~~
Tyś prawdziwie ~~[...]~~ztała na nię" mówił Klau[-]
djusz, „tyś szlachetna, i rozumna, i piękna
bardzo. Czar, który idzie od ciebie ogarnę[ł]
mnie całego. Rękę mi podaj, idźmy razem
prędzej do celu dojdziemy." A wtedy ona
cała w szkarłacie rumieńca, co od kwi[...]
serca na twarz jej wybiegł, odrzekła:
„I o tem wiesz, że razem trudniej nam

iść będzie, niech każde dąży z osobna, cel wielki przed nami" Poszła naprzód, zwracając się myślą ku celowi swej drogi, lecz ~~myśl~~ i serce jej domagało się podania ręki młodzieńcowi. Nie chciała słuchać serca, a ono mówiło tak głośno, skarżyło się tak boleśnie, że myśl zagłuszona błąkać się poczęła. Klaudjasz wciąż szedł za towarzyszką — lecz jego serce i myśl jego odbiegły od celów dalekich: tu ją miał, tu przed sobą drogą, ukochaną, jedyną — pragnął jej całą mocą swoją, całem istnieniem jej się oddawał: najdroższa, moja, moja „dziecko" zawołał, „nie pójdę dalej, kłamałem mówiąc, że do celu dążę, ja za tobą idę tylko, tyś mi celem, tyś mi wszystkiem, ja ci całą miłością moją ogarnąłem, ja ci oddaję wszystkie cele i dążenia moje, całą przyszłość, moją bądź!" — Ona czuła jak serce jej coraz bardziej garnęło się ku niemu, czuła, że cała dusza jej rywa się do tego młodzieńca, że cel wielki usuwa się z przed jej wzroku ... więc nagle ogarnął ją lęk, że stracę

go mówi, ~~to~~ marzenie życia całego, i
krokiem przyśpieszonym poczęła iść
naprzód, przed siebie, dalej, dalej.
Serce jej ~~drży~~ biło ~~silnie~~ boleśnie, czuła
iż zadaje sobie ranę krwawą, iż ~~ostrem~~ że
że sama
bez chciała iść jeszcze dalej, dalej...
Wtenczas Klaudjusz z jękiem usunął się
na ziemię. ~~Cierpiał, — zapomniał o celu,~~
~~właśnie go bolało serce~~ Rebeka zwolniła
kroku, przystała chwilę, potem nagle
zwróciła się do młodzieńca, uklękła przy
nim, ramionami oplotła mu szyję i
~~rzekła~~: kocham cię, kocham, weź mnie
jam twoja rzekła. Tacy się czuli szczęśliwi
na tej drodze dalekiej a górnej ~~przez~~
złączyli się oboje szczęściem wzajemnem.
~~On miał~~ ją przy sobie, ~~tęsknię swoją~~ ję
I tak im biegły chwile jedna za drugą szczę-
śliwe. Oboje postawili przed siebie, — zapomnie-
li, że cel istnieje jaki, oni celem dla
siebie się stali, on był jej, ona jego, a
miłość wzajemna cały im świat dalszy ~~za~~
zasnuła. — Rebeka tak kochała Klaudjusza

~~Chwilami zdało się jej, że tosem tylko, ten jej kochanek serdeczny, i że tym wszystko się bała~~ ~~to~~ był świat ~~dla niej~~ jej cały, to był cel jej dalszy ten kochanek serdeczny, co ją ~~słowami obsypywał pieszczoty~~, co ją potrzyła w oczy jego, ~~oczy~~ a jeśli wyrażała chmurkę, zdawało jej się że niebo straszym tumanem pokryte; jego głos brzmiał ~~dla~~ najpiękniejszą melodyą, — serce jego było dla niej źródłem szlachetności i dobroci, jego myśl, stała się najwyższym w niebo zwróconym szczytem. Kochała w nim wszystko jego ~~cnoty~~ zalety i jego wady, bo dla niej były one również cnotą. Ten ją kochał, tak ją pierwsze pragnął niedawno. Objął ją ~~silnie~~ mocno ~~ramiony swojemi, głowę na jej złożył swoj~~ główkę jej na swem ramieniu złożył i tulił, i pieścił kochankę swoją, aż wszystka ~~drżąca~~ miłości ~~pełna~~ ku niemu pełna.

We śnie ujrzała siebie nad brzegiem morza. Klaudjusz stał przy niej, kochającej i bardzo kochany. ~~Morze~~ Wody szumiały groźnie wichurą. Góry fal ~~porywał się wzrok~~ podnosiły się z krańca widnokręgu i ~~szybko~~ ~~bić~~ ~~wysoko~~,

i spiętrzone
Z białą ~~[illegible]~~ pianą na grzbietach swoich, z dy-
kim przeciągłym biegły ku brzegom, ~~za-~~
~~jąc je ze~~ ~~wściekłe~~, rozjuszone, że zgie-
łkiem wściekłości – zagładę niosąc z sobą
i zniszczenie. Jak porozlewały się ciągle,
zatapiały piaski nadbrzeżne, wdzierały ~~się~~
do cichych gajów rosnących opodal, obry-
wały części skał ~~gran~~ granitowych, co
z wody ~~sterczały dumnie i~~ podnosiły czoła
dumne ku niebu. Fala zetrzeć chciała
ich dumę. ~~Siłą własną i siłą mnóstwa ka-~~
~~mi, które ze sobą przyniosła – biła~~
~~w mury kamienne, nadwerężając je bezu-~~
~~stannie, mściwa~~ Po co ku górze wznoszą
wierzchołki swoje, gdy ona woda przejrzysta
tylko po poziomach porozlewać się mogła.
Więc zazdrosna i mściwa – a silna przy-
tem własną siłą i tych kamieni drobnych,
które porywała w swym biegu, – rzucała
się ~~wielka fala~~ na skał granity i ścia-
ny ich żłobiła ~~się~~, zostawiając głębokie ślady
w kamiennej opoce. I przychodziła co-
~~stopy granitu~~ drażniąc stopy granitu
przybiegała coraz większej wściekłości

pełna, i ~~coraz~~ ~~praw~~ plwając białą pianą dumnemu przeciwnikowi. Toczyła się walka pomiędzy rozlaną szeroko wodą i ~~tu~~ ~~w nadbrzeżnemi skałami~~, która zgnieść ~~świat~~ całą swoją uczynić chciała a temi ~~wysokiemi~~ skałami, co wzrostem przewyższały największe pal wierzchołki a twarz ~~swoje~~ ~~blisko~~ niebo ~~na~~ ~~zwracały~~. patrzyły. ~~Woda~~ Fale bezustannie ~~biegły~~ jedna za drugą i uderzały w wysokie granity. ~~Wiele z nich~~ ~~legło w walce~~ Gdy podstępne wody ~~wo~~ druzgotały stopy skalne — walka stawała się tryumfem fali — pogromem granitu. I gineło ich coraz więcej, padały jeden po drugim, jeszcze po śmierci druzgotane przez wroga ~~s~~wego, który odłamem ich szczątków nigrawał się z ~~s~~tulnej zdobyczy. Rebeka patrzyła na walkę, Klaudjusz stał przy niej i ~~stojąc~~ ~~smutkiem~~ ~~napełniły się serca~~ ~~Oni nie uczynić nie~~ ~~mogli~~ obaj czuli się silni miłością wzajemną.

Wtem ~~Rebeka~~ odbiciał Rebeka dźwięk głosu ludzkiego. ~~Spojrzała~~ Wzrokiem rzuciła i ujrzała opodal zagrożoną przez wodę na skałę, na której bawiły się

drobne dzieci. Takie były rudne i wsz
te małe ślotki, śmiech ich rozbrzmiewał
dziwnie wśród huku burzy. One nie widziały
niebezpieczeństwa grożącego skale, nie
wiedziały, że ze skałą i one stoczą się w prze
paść. Fala coraz wścieklej uderzała
Rosła gdzieś daleko i zbliżała się ku
Granitowi, na proch go zetrzeć pragnąc.
A dzieci na szczycie igrały wesoło.
„Patrz Klaudjuszu" zawołała Rebeka,
„zginą, zginą niechybnie, jeśli im nie dać
pomocy. Dzieci maleńkie, moje dzieci
kochane i ja i Klaudiusz ocalimy was
wszystkie, ~~obaj~~ ~~tacy~~ oboje razem zdoła
silni tacy" i ujęwszy się za ręce we
oboje w sam środek rozwścieczonej ~~wody~~
i dwojgiem rąk podtrzymali ~~ich~~ zagrożo
skałę. Darmo siliła się fala w wściekło
swojej. Dwoje tych ludzi tiez jej wstrzy
mało, skała sterczała nieuszkodzona
a dzieci wciąż igrały na jej wierzchołku
Rebeka i Klaudjusz razem wiedzieli swoją
silni – ocalili je. —— Gdy tak śniła
Rebeka – myśl Klaudjusza odsuwać się

poczęła go kochanki: wspominał na cel daleki do którego dążył, wspominał na siły swoje, które go ~~do~~ tego celu wieść miały, wstał, głowę ~~[illegible]~~ kobiety ~~[illegible]~~ na jej z ramienia swego złożył na kamień przydrożny, i poszedł dalej przed siebie. Biedaczka ocknęła się ze snu! Nie było już przy niej Klaudiusza. Okrzyk rozpaczy wydarł się z jej piersi: „Gdzieżeś ty istnienie moje, światło dnia mego?" On szedł ciągle przed siebie, nie oglądając się na porzuconą kobietę, nie słysząc jej płaczu i żalów. Ona skamieniała z rozpaczy ręce wyciągnęła przed siebie i z wyrazem tak bolesnym: „Czemuś mnie opuścił ~~[illegible]~~ najmilszy, jam wszelkie inne cele dla ciebie zatraciła, i innych nie chcę celów prócz ciebie, kocham cię wiecznie." —

Bajka. Kraków 22 stycznia 90ri

Właściwie pomiędzy niebem a ziemią stosunki ułożyły się w sposób następujący: atmosfera ziemska podzielona jest na dwie równorzędne strefy. Jedna z nich leży bezpośrednio nad ziemią i oddychają nią jej wolnej mieszkańcy: dwu, czworo i wielonożni. Nad tą strefą idzie gęsta, zbita masa obłoków, która stanowi podstawę bytu wyższych, doskonalszych duchów. One doskonałości mają na swój wszytek przeznaczoną tę drugą, wyższą warstwę atmosfery. —

Zwykle mieszkańcy sfery niższej — zajmują się tzw. pracą i toną w t. zw. codziennem mozolnem życiu. Do nich należy pochylanie się, aż do złamania kręgosłupa, nad twardą skorupą i wydobywanie z niej wszystkich środków, kt. wogóle człowiekowi do istnienia jego fizycznego służyć mogą. —

~~Do~~ Mieszkańcy strefy nadobłocznej — ~~należy~~ mają inne zadania. Oni kierują tą mniejszą bracią rozwianą u ich stóp, dzierżąc w rękach ciężkie, twarde narzędzia. To jest ich ~~pierwszym~~ jedynym obowiązkiem. Innym

jest sprawiać od czasu do czasu żywą, szczerą rozkosz swym ziemskim tworom, ukazując im własne nadobłoczne oblicza.

Stosunki między ziemianami a obłokowcami są bowiem takie, że obłokowcy zawsze widzieć mogą u stóp swoich ścielących się ziemian, ci zaś ostatni nie mogą wzrokiem przeniknąć grubej warstwy obłoków – i tylko gdy te się rozsuwają za wolą swych mieszkańców – dojrzeć mogą szanowne, promienne oblicza, tych co już tak blisko nieba samego przebywają.

Zwykle zjawisko to odbywa się z wielką pompą i paradą.

Obłokowcy urządzają gromoty, stroją głowy w glorye i wtenczas ukazują się zdumionej i wylękanionej, przejętej „Hołocie", jak zwykli ziemian nazywać.

Czasem urządzają narady, krzyki, a nie rozsuwają tajemniczych swych zasłon i wtenczas ziemianie wiedzą, że się dzieje coś wielkiego, coś olbrzymiego – ale co mianowicie nie wiedzą i domyślać się

nawet nie śmieję.

Niekiedy zachodzą tam (w obłokach i na ziemi) sceny mniej więcej następującej podobne. Śród obłokowców bywają temperamenty rozmaite. Otóż zdarzył się między niemi facet niezwykle do choreograficznych popisów uzdolniony. Tańczył, tańczył, tańczył, aż zdarł doszczętnie kamaszki i pozostał przy wytartych podeszwach i smutnie wyglądających cholewkach. W nadobłocznym kraju byli szewcy, ale ~~kredytu~~ nie dawali nic na kredyt (wszystko się tam wogóle gotówką płaciło). Talent był dobry, a ~~ta~~ na bosaka nie ~~chciał~~ za nic występić. Siedział więc nieborak nad swoim losem, aż ~~go~~ serdeczny przyjaciel ~~do~~ ~~obiecał~~ z kłopotu wybawić.

Porzuciwszy gwiaździste obłoki, przystroił się w swoją największą glorję, przebył mgły i tajemnicze kordony dzielące ~~go~~ od ziemi i ukazał się ziemianom w całej swej wspaniałości.

Oni tam wszyscy rzucili wszelką pracę i z nabożeństwem wzrok w zjawisko cudowne utkwili. Obdarzony postanowił uradować ich jeszcze dźwiękiem swojego głosu, a temat już miał gotowy.

– Ziemianie – przemówił, – oto wśród nas, co w obłokach mieszkamy znalazł się jeden co dotrzył drogą w najwyższe przestwory wiodące. Gdy dojdzie – stanie się przewodnikiem naszym, i obłoki nasze w górę uniesie, a glorji twarzom naszym przybędzie. Wtenczas i wy nasz wielki majestat ujrzycie. Pojmujecie jak wielka radość przepełnia serca nasze, jak wielką radością wasze [illegible] napełnić się winne. – Tylko jedno jedno malutkie..ale. Jemu, geniuszowi brak maleńkiej waszej monety. Potrzeba mu jej, by sobie na podróż buty stumilowe kupił i tak uzbrojony ku najwyższym szczytom kroczył. Pojmujecie, że to mu jest potrzebne, a przecież sam troszczyć się o głupie grosze nie może, więc...

Ale już kończyć nie potrzebował. Podobne mowy znali wybornie Ziemianie. Naładowali natychmiast olbrzymie wozy złota i miedzi i przez odpowiedniego posła wysłali do nadobłocznych krajów. Wszyscy obłokowcy urządzili sobie wspaniały bal.

W górach. (Felsenthor 31 sierpnia 1906 r.)

Góry przed nami, kochanku mój; wysokie, poszarpane, skalne góry...
A pomiędzy nimi łąki zielone, niewysłowionych słodyczy miodów pełne, kwietne, wiosenne łąki kochanku mój.
I szumiące nad nimi lasy. Sosny wysokie, żywiczne, i grabiny blade i buki soczyste.
Kochanku mój! ~~Pr~~ Przed nami świat, świat wysoki, kochanku mój!
Po górach mgły się przesuwają białe, szczyty dymią w słońcu, a kwiaty łąk pachną. Lazurowa gencjanna, i żółte pełne jaskry jak róże są te małe kwiaty, jak róże kochanku mój! I liście paproci, mój milszy mój, i liście ~~haftowane~~ koronkowych paproci!
Łąkami idziemy, kwiaty zrywamy, w kwiaty patrzymy, i w oczy patrzymy sobie kochanku mój!
Mów, mów co powiedzieć mi miałeś!
Mój najmilszy, ~~przecie~~ o twój głos, o twoja mowa, o usta twoje ulubione!
Mów kochanku mój – na góry słońce promienie rzuca, las zieleni – ja słucham ciebie. – Strumienie z gór biegące kaskadami spadają, piasek pod naszemi

stopami rozpryska się jak zielona zboża — słu-
cham ciebie!
Słucham Ciebie, Kochanku mój i w oczy patrzę
twoje.
W twoje oczy, co mi są jaśniejsze nad jasność
dnia, co mi są bliższe nad serca mego kołatanie.
Oczy twoje, Kochanku mój! Ach, oczy twoje!
Dotknąłeś mnie ręką swoją, drżę jak liść,
na który kropla rosy upada.
Idziemy razem, ~~dwa~~ dwa, ~~motyle dwa~~,
górą, górą, Kochanku mój! Jako dwa du-
chy, jako ci, którym skrzydła przypięto.
Idziemy Kochanku mój, a nad nami nie-
bo jasne, a na tem niebie biały księżyc,
co się nocą żółtym ogniem zapali.
O góry! góry! Wysokopienne, niezmierzone szczyty! Kochanku mój wejdziemy
na nie! Uskrzydlone my ptaki! i
miłością napojone serca, żywe,
tętniące serca.
Ach mi dobrze z tobą Kochanku
mój, jak mi dobrze!
Powiedz słowo, albo nie, nic nie mów,
wiem, wiem, wszystko cokolwiek
rzekniesz dobrem będzie. — Tyleś mi

23

prz słów rzucał, jak perły drogocennych.
Dobry jest!
Z sosnowych gałęzi szyszki zwisają bursztynowe, woń ich balsamiczna dochodzi do nas!
Z naszych słów, z pieśni naszych wyśpiewaliśmy ~~cięż~~ ~~cię~~ wielki ciężki wieniec!
Wszystkie jego kwiaty drogie mi są, kochanku mój; wszystkie jego kłosy skarbami są dla mnie, kochanku mój!
Chowam je w świątyni serca mego, na najczystszym, najwyższym ołtarzu, i palę im kadzidła i drogie wonności!
Palę przed nimi godziny moich zachwytów i rozrzewnień, przynoszę im moich myśli ~~białe skrzydła~~ echa, i daję im w ofierze moich nadziei białe skrzydła.
Ah! Kochanku mój! świątynia mego serca pełna jest Ciebie!
I nie przeminie godzina żadna, abym ci nie złożyła jednego kwiatu, jednej trawy mojego życia.
Wyżej! o idźmy wyżej, Kochanku mój!
Oddech nasz staje się lżejszy, głos nabiera brzmień srebrnych, odbiega od nas i powraca wielokrotnem echem! — Przed nami

twarde granitowe skały.
Nieprzebyte, mówisz, i patrzysz na mnie, patrzysz, ~~twoim~~ jakgdybyś czekał odpowiedzi u mnie!
Ojdźmy! idźmy! dojdziemy!
Razem dojdziemy, ty, którego najdroższym nazywam.
Razem, po tych granitowych, nielitościwych skałach.
Razem, iżby się wedrzeć na szczyt.
Śniłeś o tym szczycie, kochanku mój, i ja o nim śniłam, dawno już, dawno!
Śniłam, jak o szczęściu tak ogromnem, że go objąć okiem nie zdolna byłam.
Śniłam, kochanku mój, a kiedym sen mój o tobie ziściłam - więcej niż przedtem zapragnęłam szczytu!
Dojdziemy razem kochanku mój, razem dojdziemy!
I twoje, i moje ramiona silne, stopy nasze wytrwałe i pewne
A w sercu świętość wielka.
Kochanku mój, przyzywałam ciebie, kiedy jesienne liście spadały z drzew i gniazdy z nimi złożonymi nadziei!
Przyzywałam ciebie, kiedy otwierało się

morze głębokie, by słońce ~~wszystk~~ ~~swoje~~ wszystko co cierpieniem
co im nienawistnem było, i zbolałe serca w małe,
błyszczące, a chore perły przetwarzać.
Przywołałam ciebie, gdy zachodziło słońce, a noc
pełna mroków i tajemnic kładła dłoń zimną na
ziemi.
Przywołałam ciebie, gdy z moich oczu padały cię-
żkie łzy smutków.
Przywołałam ciebie i Aleś ty nie przychodził,
i dobrze było, cierpienia ~~moje~~ sama brałam
na siebie przemożnie.
Teraz, gdy ku szczytom idziemy, — w świat
mój wymarzony, wyśniony idziemy.
Dobryś ty, dzięki ci składam!
Nie me tylko dzięki, ale ty je pojmiesz ko-
chanku mój, jak pojąłeś miłość moją, o któ-
rej nie mówiłam ci.
Przyszedłeś, odsłoniłeś przedemną duszę swoją,
a ja ją ukochałam.
I błogosławiłam jej pierwszem rannem tchnie-
niem i pierwszym promieniem słońca.
I rozkwitła dusza moja, jak róża biała. Ka-
żdym listkiem śpiewała imię twoje i każdym
listkiem chłonęła pamięć twoją.

A! Ku szczytom idziemy!
Nie mam bojaźni w tobie, kochanku mój,
ani o chłodzie wysokich szczytów nie myślę.
Razem idziemy!
A! Niebo się otwarło przed dwojgiem szczęśliwych ~~[illegible]~~! – Rozszerzyło się i otwarło,
i kwiaty padają na głowy nasze.
~~Nie mam~~ Dłonie mamy już pełne kwiatów i ty ich niesiesz stos ciężki, kochanku mój!
A oto przed nami coraz to ściany stromsze,
a oto przed nami coraz twardsze granity.
I jesteśmy u stóp lodowców przepaścistych a chłodnych.
Dalej idziemy, kochanku mój, dalej!
Biel i błękit przejrzany śniegów oślepia nam oczy – ale my je wzrokiem przemożem naszym,
i stąpać będziemy po nich, aż i w górę lodowców pójdziemy. – I dojdziemy do nieskończonych białych pól, gdzie śniegi jeno królują, i naszem tchnieniem rozgrzejemy pola białe.
I uczynimy iż spłyną ku dolinom, aby je użyźnić i przyniosą ze sobą dziwną, nieskalaną szatę swoją. – Kochanku

mój; oto naszej podróży kres będzie. Nie pójdziemy już wyżej, nie ~~za~~ masz już skał bielszych, nie masz masz już przepaści głębszych nad morza lodowe.
Kochanku mój, o jak się twój wzrok ~~pała~~ skry płomieniem świętym, o jaka jasność na czoło twoje zstępuje. — O jakiś ty ~~silny~~ wyprosty i silny. — Raduje się dusza moja, najświętszych radości świata pełna jest ona.
Ty wiesz, i ja piołun znam, do której sięga się strumienie największych roskoszy życia ludzkiego. I oto ten pochód z tobą, kochanku mój, jest najsłodszą kroplą miodu ~~ut~~ ula mojego.
Dzień wczorajszy, który bez ciebie spędzić mi dano, był jak jeziora górskie — ranną mgłą przykryte całe. — I nie patrzące twarz w twarz z słońcem jasnem.
Kochanku najmilszy, ty słońce gorejące w południe. Ach — jaka z tobą lekka wydaje się droga po stromych urwiskach i możnych, zdradliwych lodowcach. — Zieją ku nam niezgłębionemi przepaściami, a połamane kryształki lodu i śnieg tające czynią nam drogę ~~naszą~~ niebezpieczną i niezgłębioną. — Ale to mi, kochanku

mój, patrzę w twarz twoję, i czytam w niej siłę i wolę.
Jedziemy dalej, dalej!
A jak się to wszystko dziwnie przemienia.
A jak się barwami żywemi krasi, a jak blaskami gra!
Słońce od ziemi odbiega! A na pożegnanie ~~ześle~~ purpurowe pocałunki ziemi. Nie dochodzą one ~~do~~ do ziemi, a tu się wszystkie ~~[illegible]~~ ku szczytom i lodowcom garną. I całują słońce białe obłoki rozproszone na niebie. — Czujesz, najmilszy, jakie nam ~~nas~~ ze słonecznych blasków przypadły hojne dary? Czujesz, jak stoimy rozgorzani, świecący, podobni tym pochodniom, które daleką drogę znaczą.
Najmilszy mój, prawie, że u szczytu jesteśmy. Prawie, żeśmy się z obłokami stopili, i białym polom śnieżnym kajdany rozkuli.
Najmilszy, o ileż górnego szczęścia mieści w sobie ta cała droga nasza.
I ten szczyt, ku któremu dążymy kochanku mój;
— Słońce odeszło już, odeszło, tylko jego królewskie purpury i fiolety ~~[illegible]~~ wszystkie się pną po niebie i góry ~~naszych~~ i nas samych ~~[illegible]~~ oblewają jeszcze

3. 26

Pójdziemy wyżej, Kochanku mój, tak idziemy wyżej. — Czasu nie mamy na wyczekiwanie jutra, a tą doliną nie wrócimy jeszcze ze szczytów.

Nabraliśmy blasków w oczy nasze i serca uczuciemy rozpalone w sobie, nie ~~bo~~ lękamy się nocy. Kochanku mój, ty się nie trudź dla mnie, równym krokiem podążam obok ciebie. — Czuję się silną, tak jak i ty, najmilszy. — Lodowce patrzą na nas przepaściami, rozwarłymi ~~a ławicy za dnia rozgorzane~~ ~~te~~, a wieże skalne zamieniły się w czarne, złowieszcze nam duchy. — Dalej, dalej Kochanku mój. — Dłoń moją w twoją dłoń kładę, ~~roz~~ ~~jaśni nas z sob~~ ciepłem my naszem własnem rozgorzali! Nic, że z lodowych szczelin ~~gł~~ mroźny dech na nas wieje! Nic, że wiatr co po skałach szeleści jakimś dziwnym śmiechem nas wita.

Zamarły już wszystkie głosy niziemnego świata. Nie dochodzą nas pogwary miast, ani siół. Już nie słyszę kołatania dzwonków zawieszonych u szyi pasącego się ~~w~~ po haliach bydła. — Cisza — ach jaka cisza, dokoła, najmilszy. Tylko słowa twoje dochodzą do mnie, tylko moje własne myśli i czucia, jak potężne pieśni grają we mnie. — Kochanku mój

Daleka jeszcze przed nami droga.
Ale ~~my~~ idziemy! Ileśmy już zwalczyli prze-
szkód, ile niebezpieczeństw przebyli – nie wiemy
nawet, – wróg był na drodze naszej i skrył
już wszystko. Tylko skryć nie był zdolny nasze-
go hartu i wiary naszej. Święcą one, jaśniej od
gwiazd na niebie.—
Idziemy.– Czemu przystanąłeś, kochanku mój,
czemu? Drogi nie znasz? – Nie trwóż się, nie
zgubiłeś starej drogi. Myśmy nią nie szli. Stopy
nasze znaczyły nową ścieżkę, taka ścieżka dalej
nas powiedzie.
Idziemy. O, kochanku mój, jakże są słodkie godziny
umęczenia, gdy szczyty tak blisko przed nami!
O kochanku! Uczyniliśmy więcej niż zdolni są
ludzie czynić.– Idziemy w wielkiej ciemni, a na-
sze rozjaśnione serca i twarze.– I bojaźni nie
dajemy przystępu do siebie.– Czemu się trwożyć
mamy? – Z ust twoich pada słowo.– Nie, nie naj-
milszy – nie straszne mi ~~niepokoj~~ wyżłobione prze-
paście, ani ostre iglic skał.– Czemu się trwożyć?
Idziemy – jak nam iść dano – jedyną, choć
niedostępną drogą.– Kochanku mój, raz ci je-
szcze powtarzam – nie wrócę w dolinę, ani tu

gnuśnie czekać ~~nie~~ będę. — O idę, idę z tobą,
bądź mężny! — Nie trzeba ci słów moich, ani
zachęty mojéj, wiem o tem, ale pragnęłabym wy-
lecieć jeszcze przed ciebie, ~~aby~~ ci ulżyć ~~ciężaru~~ troski?
Ty nie wiesz jakiem szczęściem to jest dla mnie.
To jest tak, jak ~~by~~ gdybym ~~do~~ na białe obłoki,
biegnące po wysokiem ~~niebie~~ sklepieniu rzuciła moje długie,
~~moje~~ miękkie, tak przez ciebie ukochane włosy.
I tak ~~wstęp~~ zawisła na nieb~~ie~~ jak gwiazda
jasna. — Najmilszy mój, daj mi do ręki sakwę
twoję podróżną, ciąży ci ona, ty nie wiesz jak
silna jestem, każdemu ciężarowi podołam.
Ślizgają ci się stopy nad przepaściami, puść mnie
pierwszą iść będę, nogi moje lżejsze, łatwiéj
na twardą skałę ~~wstąpią~~ zahaczą. — O żal, żal, że mi
pierwszej iść nie dozwolisz. — Doszlibyśmy razem,
najmilszy, tylko jabym ci może pomocną była.
O miły, miły! Pamiętasz ty pierwsze chwile
miłości naszéj, i pierwsze chwile poznania naszego.
Przyjaźnie było między nami, ale stanęła wpo-
śród nas moc wielka, która nas do siebie przy-
kuła. Najmilszy, jedyny, ukochany bardzo. Mię-
dzy ~~nami~~ moc trwa, tak silna jak w chwili
pierwszego poznania. I silniejsza nadto.

Dorzucili my do niej niejedną szczerozłotą okowę.
O jedyny na świecie całym! Moja dusza spowija cię miłością swoją nieszczęśliwą. — Chcę być ja orłem wyższym nad te bezlitosne skały, przepaście nad ich szczyty.
Jedyny! Nie, nie, nie boję się ciemności. Ani tych mroźnych wichur, co nam nad głowami zawodzić po- czynają. Ani wilgoci tych śniegów, których puch sypie się na nas. — A ręce, której podaję najwarniej — iść wyżej: — z tobą, z tobą, z tobą... Niech przychodzą straszne burzany i niech miotają nami w ciemności. Wierna ci jestem. Spragniona tylko szczytów.
— Jedyny, niech głos twój nie drży, i niech się na twarz twój nie sili, gdy mówi do mnie. Któż ja jestem, dla mnie — jestem Tą, która drżeć nie chce. — A! i cóż, i cóż te huczące górskie nawałnice? A i cóż te nieprzebyte morza lodowe, i granity bezlitosne?
Nic nam od nich nie przyjdzie złego, tak, nic złego, powtarzam... Wołam naszej śmierci. — A tej się nie lękam. I ty się jej nie lękasz, prawda. Patrz, patrz w oczy moje — pełne są ciebie.
Gdy się zamykać będą schowają głęboko twój obraz. Twój obraz, jedyny. Z tych niedosięgłych wyżyn, ku którym idziemy. Kochanku mój, a gdyby i przyszła nawet ostatnia godzina — razem jesteśmy. To jakby jedno drugiemu słońcem było i życiem się stawało. — Więc niech to ży-

życ więc to życie zaraz odbija od nas.
– A! coraz ciemniejsze przepaście przed nami, coraz niepewniejsze światła dokoła nas. – Miły, może już, już nadeszła chwila? – Miły, myślę, że może ja pierwsza..., ja... serce mi tak słabo w piersi kołacze..., kochanku mój; przybliż twarz swoją ku ustom moim... nie mogę mówić jak cicho, bardzo cicho...; słuchaj, pewnie oczy zamknę, zamknij je z twoim wiecznym obrazem... najmilszy ty mnie zostawisz, tu, gdzie ta otchłań ogromna,... a potem weź moje włosy... te włosy które tak kochasz, – weź je,... są silne..., sploty są grube,... ~~[illegible]~~ uczyń z nich sznur długi... mocny,... owiń się nim... i ~~dalej~~ ~~idź~~ ~~owiń~~ przymocuj do skały... a gdy dzień wejdzie dalej idź... dalej... Kochanku mój jedyny... .... I jeszcze jedno... kiedy umęczone serce moje bić przestanie, wyjm je z piersi mojej i weź w swoje dłonie... ożyje ono... i ciebie jedyny w mroźną, bezlitosną noc ogrzeje...

(styczeń 1908) 1. 29

Wspomnienia.

Przy dzisiejszym obiedzie panowało u państwa Malinowskich pewien niepokój. Sama pani, siedząca ~~przy~~ na tak zw. pierwszem miejscu szerokiego, dębowego stołu – twarz miała ~~dziwną~~ przybladłą, oczy sinymi obwódkami podkreślone, usta zaciśnięte. Nic prawie nie jadła, a ręce jej suche, drobne, nerwowe drżały lekko przy nabieraniu potraw, ~~któ~~ które na szerokich białych półmiskach z całym szacunkiem i znajomością swego fachu – podawał stary, siwowłosy już lokaj Jan.

~~M~~ Pan Malinowski, naprzeciwko żony siedzący – również ~~cały czas~~ milczał. ~~Przy bokach stołu siedziały z jedn~~ Po prawej stronie stołu siedzą Mieciu i mała Hlinka obok niej zaś francuska Mademoiselle Eliza, z drugiej zaś, lewej, 12-to letnia Madylka

i obok niej panna Stanisława, która za lekcje, oprócz honorarjum, dostawała u państwa mecenasów Malinowskich obiady.

~~Atmos~~ Na wszystkich twarzach ~~widać było~~ wybiło się uczucie lekkiego zdenerwowania i pewnego przymusu. — Panna Stanisława, witając się z panią domu, zauważyła już jej niepokój; — nie śmiała naturalnie pytać o przyczynę, ale teraz, patrząc na oboje państwa — domyślała, że coś ważnego zajść musiało. Minka parę razy zachichotała głośno, ciągnąc francuskę za rękaw, ~~Mademoiselle Elise do ucha dziewczynki się nachyliła i uspokoiła ją...~~

~~Państwo oboje siedzieli milczący.~~

Zygmuś rzucił jakąś uwagę o ~~gim~~ szkole, Marylka zwróciła się do matki z zapytaniem czy może dziś iść na ślizgawkę...

Pani Malinowska drżąca — i nic nie
odpowiadała... Wydało się obecnym,
że oczy jej wypełniły się łzami.
Nareszcie, gdy po obiedzie dzieci wy-
szły i wyszedł, a Jan przyniósł na tacce trzy
małe filiżanki kawy: dla pani
dla pana i panny Stanisławy — twarz
pani Malinowskiej zmieniła się,
powieki jej się przymknęły — i
wybuchnęła głośnym, wielkim pła-
czem. ~~Pani jej wzmocni~~ Głowę oparła
o stół, łkania podnosiły jej pierś,
całe ciało drżało od płaczu.
Nieprzyjemnie... bardzo nieprzyjemnie...
Pan Malin. krzesło odsunął, wzrok
na żonę popatrzył, chciał podejść
ku niej, dwa kroki stąpił, ale
się zawahał — cofnął — i wyszedł,
zamykając cicho za sobą drzwi.
Panna Stanisława zbliżyła się do
pani. Było jej żal, ogromnie żal.

32
4.

Popatrzyła ~~t~~ na tę śliczną, kształtną główkę, ozdobioną modną fryzowaną koafiurą, gdy na stole (zwłaszcza) opadła, ~~poruszana~~ wstrząsała się lekko pod falami Pani;
Panna Stanisł. nabrała śmiałości i rękę na ramieniu Pani Mali położyła
— Pani - droga - pani...
Pani Malin. nie odpowiadała. Płakała nie ciszej, ale ciągle, ciągle...
Pannie Stan. przyszło na myśl, że trzebaby jej jednakże ulżyć...
Nalała szklankę wody z karafki stojącej na stole..
Droga pani - droga pani - niech pani wody.
Głos jej był niesłychanie słodki i drżący ogromnem współczuciem.
Droga moja, kochana pani. szeptała zbliżając ~~się~~ twarz ~~do~~ ku twarzy pani Malinowsk.
Pani Malin. głowę podniosła. ~~Twarz~~ Policzki miała wypiekami pokryte, oczy

zaczerwienione od płaczu, oczy te były
~~b.~~ b. zamglone łzami i b. smutne.
~~Chwilę wiedziała moim~~ Szlochania
jej przeszły, Chwilę siedziała milcząc
– Moja droga, kochana Pani – i p.
Stanisława tuliła się do niej i rękę
swoją dobrą gładziła jej po ramionach.
P. Malin. w twarz nauczycielki
spojrzała:
Panno Stanisławo, panno Stani-
sławo.....
W szepcie tym było zapytanie...
– Pani musi mieć wielkie zmartwienie;
Pani Malin. spojrzała na nią twarzą
otwarciej.
– Moja droga panno Stanisławo – – – bar-
dzo wielkie – – – ogromne – – – oczy jej
znowu wypełniły się łzami – – –
Gdyby to pani wiedziała – – – Oj życie
życie! gdyby to pani wiedziała,
– to straszne – to straszne – – –

34. 6.

Nastąpił nowy wybuch łkań...
Nagle pani Malin. z krzesła wstała
i wyprostowała się;
Ko pani nawet nie wie jakie są bru-
dy życiowe, pani nie wie...
Gorycz miała ogromną w głosie...
– Niech pani za mąż nie wychodzi,
panno Stanisławo, niech pani o
miłości nie marzy – bo wszystko
brud, wstrętne kłamstwo, oszu-
stwo...
Głos jej był podniesiony.
Panna Stanisł. ~~stała~~ stała oddalona od
niej o ~~kr~~ parę kroków... Zbladła i
oczy w ziemię opuściła. Dostrzegła nie-
spodzianą głębię, o okropnych ścianach.
Pani Malinowska podeszła ku niej.
Zdenerwowana była do najwyższego stopnia,
twarz jej drgała, oczy świeciły płomie-
niem, – rękę p. Stanisławy ujęła.
Czy pani wie – czy pani wie jak

się to wszystko dzieje?... Czy pani wie?... Oto żyjemy ze sobą lat piętnaście... ja wierzyłam, jż zawsze wierzyłam, ja myślałam, że jestem szczęśliwa, ja kochałam go zawsze... dla niego chciałam żyć, może więcej dla niego niż nawet dla dzieci... On mówi, że należę do natur czystych, tak byłam czysta zawsze, nie myślałam nigdy o nikim innym, nigdy, nigdy... On tylko jeden... zresztą pani zna mnie oddawna....

..Fala łez napłynęła do jej oczu..., ci-cho chwilę popłakała — aż wykrztusiła z siebie zdławionym, syczącym głosem:
Zdradzał mnie — — trwało to lat dwa, tak, teraz pani wie, teraz pani wie...

Siły pani Malin. wyczerpały się
Silny kaszel chwycił jej ciało, aż

padła na ziemię wstrząsana spazma-
tycznemi ruchami.

Panna Stanisława z pokojówką ra-
towały chorą, zaniosła ją na łóżko,
posłała po lekarza, postąpiła we-
dług jego wskazówek, aż nareszcie, gdy
chora usnęła — pomyślała o pójściu do
domu. — Spojrzała na zegarek: było
pół po siódmej, spóźniła się o dwie
godziny na lekcję do Jaworskich, — nie
pozostawało jej nic innego — jak wrócić
do domu.

Gdy w przedpokoju ubierała się w jesienny
swój czarny żakiet i mały, czarny filcowy
kapelusik — dostrzegła, że drzwi od
~~pa~~ gabinetu p. Malin. są otwarte.
~~Ot~~ ~~Ota~~ ~~Otwo~~ Nad biurkiem paliła się lampa
elektryczna przyćmiona abażurem,
~~Ot~~ mecenas przy biurku siedział, z
~~o~~głową na rękach wspartą. Twarz miał
poważną i bladą.

Uczucie żalu ku niemu, zdeptanej sprawiedliwości – zakarżała sercem p. Stanisławy. Lubiła go zawsze bardzo, był miły i rozumny, nadto uprzejmy aż do wytworności niemal, co się w jej zawodzie nauczycielskim rzadko spotykało.

Teraz jednak, ~~gdy się~~ gdy uprzytomniła sobie ~~jego~~ ~~od~~ ośłoniony przez żonę tajemniczy rebek jego życia – uczuła, że ładna maska, kt. ten człowiek nosi jest tylko sztuczną, robioną maską, ... I za to ku niemu uczuła żal...

Miała ku niemu trochę wstrętu, ale zarazem i trochę ciekawości, – a ta biedna pani leżąca ~~teraz~~ chora w łóżku....

Uczuła, że ku niemu zbliżyć się musi ...

Krokiem pewnym, cichym podeszła...

Pan M. na szelest tych kroków drgnął, ręce zdjął ze stołu, głowę podniósł do góry. W oczach znać było pytający chłód...

Ten chłód dodał pewności p. Stanisławie... Z umysłu jej zagrał kontrast pomiędzy tą chłodną wizją — a tam tem żywem cierpieniem.

Twarz jej przybladła, rysy przybrały ostry wyraz, otworzyła usta i głosem pewnym, a cichym wyrzekła:
Żona pana leży w łóżku — był doktor, — nakazał ciszę,

P. Malin. wstał. Patrzył na nią niewzruszenie stalowym wzrokiem,
Dziękuję pani...

Jej wydało się, że we wzroku dostrzega ślad szyderstwa, w każdym bądź razie był tam ogromny, wprost przeraźliwy chłód i obojętność...

Pani ~~jest~~ być może bardzo chora.

Czuła, iż mówić tak ani tego nie powinna. Oczy pana Malin. patrzyły na nią badawczo ...

– Jest b. zgnębiona i nieszczęśliwa ...

Pan Malinowski się ocknął. Zrozumiał że p. Stanisł. wtajemniczono do spraw rodzinnej. Zagryzł z wielką siłą dolną wargę, było mu nad wyraz przykro. ... Potem spojrzał znowu na p. Stanisławę. Stała przed nim blada, z oczami spuszczonymi. Na twarzy znać było wielki wysiłek. Znał ją oddawna, bardzo cenił, i bardzo lubił. W tej chwili uczuł uczuł jej ból i jej współczucie. Zastanowił się nad czystością jej serca. Stała przed nim taka niewinna i taka niewiedząca.

Ujął jej prawą rękę z całym szacunkiem

– Droga panno Stanisławo, pani zatem wie ... może mi to przykre,

ale się stało ..... a pani Orzeszkiewiczowej nie jest .... ale pani droga, może pani o takich sprawach ani sądzi, ani wyrokuje ..... Cóż może powiedzieć taka, jak pani kobieta, która żyje cicho, spokojnie, bez namiętności żadnych.

Odszedł od niej i o biurko się oparł. Twarz mu się ściągnęła wyrazem silnego bardzo bólu ....

Panna Stanisława popatrzyła nań i bardzo cicho z gabinetu wyszła .....

1. druga część. 41

... Panna Stanisława wracała do domu.
Szła długą, nieskończoną Marszałkowską
ulicę. ~~Droga~~ Aleja wyciągała się
przed siebie, ~~daleka~~ w przestrzeń
już ~~zachodnia~~ zasnutą, zachodnią, ży-
ta gorączkowym życiem tych wszy-
stkich ludzi ~~…~~ wysypanych po-
między długimi szeregami, rozsuwa-
jących w obie strony, drążących
śpieszących, gnających przed sie-
bie …

Marcowy wiatr ~~zadął~~ Panna Sta-
nisława ~~miała~~ z rozkoszą dech tej wyprawy ~~[illegible]~~ ~~do twarzy~~
~~przybywającą~~, palił jej policzki, ca-
łe ~~jej~~ się ciało od wewnętrznego podnie-
~~ty~~ cenia drżało. ~~Panna Stani-~~
~~sława~~ Szła, prosto, śpiesząc przed siebie,
aż ~~za miejskimi dworcami~~.
~~Ale~~ Na przecięciu Wspólnej ~~przypad-~~
~~kiem~~ skręciła, i już nie długą ma-
ła drogę. W którymś bliskim domu
mieszkała ~~to~~ przez wszystkie, ~~[illegible]~~ pa-

Dwórz ~~do~~ na schody oficyn. ~~Dosta mi~~ Na trzeciem piętrze, przy drzwiach wdasnych — ~~klucz~~ z mufki wyjęła i ~~otworzył~~ drzwi otworzyła.

Z pewną gorączką zapaliła lampkę... ~~Oczu~~ ~~wiążąca~~ ~~wiążący~~ ~~odpychający~~ lęk ~~od~~ od tych samotnych ścian.

Drzwi od pokoiku, kt. za życia zajmowała matka — zamknięte były, jak zwykle. ~~Ta we wdasnym swoim pokoju~~ ~~po p. Stanisława~~

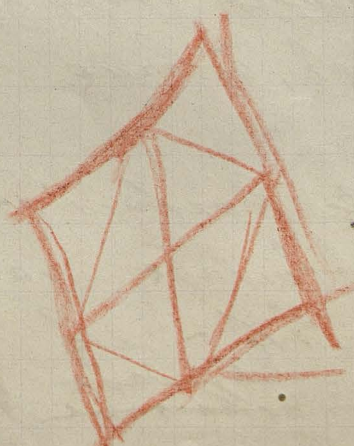
~~Za~~ Z zamętem w sercu panna Stanisława na drzwiom ~~spojrzały~~ zerknęła;

~~Jeśli nie ma...~~

Czuła, że w niej wzbiera, że to z dna, z dna samego przychodzi...

Czuła, że twardą, ciężarną ręką chwycić może...

Zapaloną lampkę postawiła na biurku. Spróbowała na maszynce zgotować herbatę — ale gdy już na ~~maszynce~~ ~~…~~ woda ~~się~~ ~~zaszumiała~~ zagadała dłuższym szmerem — ~~kurt~~ ~~przekręciła~~ ...



przy biurku usiadła.
Po prawej jej ręce leżała spora naręcz owiniętych w kolorowe okładki zeszytów. Pierwszy z nich otworzyła, Zosia Grabowska: ćwiczenie szkolne ~~Pory~~ Jak spędziłam wakacje?
~~Ale~~ Panna Stanisława zadanie poprawiła, sięgnęła ręką po drugie, trzecie.
Wrażenia małych, dwunastoletnich dzieweczynek, zawarte w tych kartkach – przeczuwały się obok niej, nie wywołując na jej usta uśmiechu, lub skrzywienia, tak pospolitych u niej przy tego rodzaju pracy...
~~Niekiedy~~ Często wraz z koleżanką Panną Małgorzatą, strasznie miłą i kochaną dziewczyną wynotowywały sobie swoje uwagi o wspólnych uczennicach Zosi Grabowskiej i Kazi Radomskiej... Dziwiły się i cieszyły rozwojowi dziewczątek.., doznawały niekiedy rozkosznego uczucia, że one, one tylko ~~same~~ ~~wdrażając~~ ~~się~~ dotykały

~~wtar~~ tych rozwijających się, delikatnych kwiatuszek, ~~które~~ dziecinnych, które przecież kształtowały własnymi rękami; Panna Stanisława przeżywała natenczas chwilki szczęścia. Rozpromieniało jej się własne serce, czuła się dumna i wypełniona. Ale wielu, wielu ludzi i rzeczy ~~miała~~ ~~czuła~~ ~~własnemi~~ hodowała pojęcia w sobie...

-- Teraz nic nie mówiło do niej z ~~kart~~ kartek zeszytów dziecinnych.

Leżały martwe, ~~suche~~ bezmyślne, trzeszczące ~~kar~~ ~~kartami~~ papierem, zapisane szeregami zdań nierzeczowych, nieopracowanych, głupich...

Wyczuła p. Stan. ten sam przymuszony pośpiech, z którym uczennice ~~tworzyły~~ ~~napisały~~ zadania odrobiły,

Bezmyślność, bezużyteczność pracy własnej ~~jak tylko mieliby nadarzyła myśl p.~~ ~~Stanisławy~~ wszystkiego na świecie w mózgu walić przychodziły

- I po co? - I po co?...

Nauczycielka od biurka wstała, ku oknu podeszła... ~~W kartkach jego leżała niepewność~~

Patrzyło ono w ciemnię ~~przed~~ wąskiego podwórza... ~~Naprzeciw, w oknie drugiej oficyny paliła się na stole kuchennym lampa. Przy lampie siedziała ~~młoda~~ kobieta, nad nią pochylony, młody, przystojny człowiek. Kobieta miała rozpłomienioną twarz. Panna Stanisła-~~

Roletę spuściła — i po pokoju krokiem równym chodzić poczęła...

— Jezu! Jezu! Szeptała to wszystko stłumić w sobie i zgasić, stłumić i zgasić — jak tylko prędko się uda.

Otworzyła drzwi do pokoiku nieboszczki matki. Stało tam, jak za jej życia wysoko zasłane, drewniane, szerokie łóżko, klęcznik z wypłowiałymi od kolan śladami, stół zastawiony gracikami i szafa z ubraniem... Po śmierci ~~staruszki~~ panna Stanisława — nie ~~zdobyła się na~~ chciała ani mieszkania zmienić, ani

umeblowania jej sprzedać...

Nie spieszała tego ruszać

— ~~Wszak zostanie~~ — ~~powiedziała sobie~~, a ~~tych parę rubli czynszu~~ —

Z rodziny bliższej nie miała nikogo... Z dalszej — krewni zamożni nie wiele pamiętali o niej; ona nie pamiętała również.

Uczennice tylko dawne — odwiedzały ją niekiedy i pisywały do niej... Dzieci z jej „kompletu" przychodziły czasem w niedzielę, koleżanek parę

I cóż mnie mówić teraz, mnie ułomkowi ludzkości, mnie wypełnionej strzępami myśli, jadami bólów, przeczuciem nieszczęść, widzeniami śmiertelnymi.

Cóż mówić mnie, która stopy grzęzłam w ~~[illegible]~~ płonnych piaskach ziemi ludzkimi rękami uprawianej, która patrzyłam na narodziny człowieka, na skrzydła jego sztuczne, codzień przypinane, i codzień zrywane, na jego bezduszne życie i w pioruny zaprzęgane szaleństwa, — na jego krwawy trud dni codziennych — i ~~[illegible]~~ nędzną nędzę dni świątecznych, na jego walkę o ziarna pszenicy, na jego oczy, które te ziarna pszenicy w aureole świetliste przemieniały, na jego ręce, które łańcuchami skute — łańcuchami dzwonią i grają...

Cóż mówić mnie, cząstce tego ludzkiego stada, które pędzi po przez nieznane obszary, wyobraźnią tylko złudną znacząc drogi i drogowskazy, i tamy, i pro-

mosty... Leci to wszystko przed siebie
przed siebie, koniecznością pogoniona, lo-
tem ścigane, — ku śmierci leci, ku nico-
ści, ku przepaści jednej, jedynej, któ-
ra wszystko pochłonie.
Cobykolwiek wymyślił mózg ludzki, cokol-
wiek serce ludzkie wyczuło - zgubi się
zniszczeje, szczeźnie, i na wieki zginie,
jako te śniegi zimowe, które tu nie-
dawno łąki i pola zalegały...
Cóż mówić mnie?
Ani bym wiedziała, ani bym umiała.
A umiem tylko iść w tem dzisiejszem
słońcu wiosennem, iść po przez te zielo-
niutkie pola, po przez te drogi ranną
rosą okryte, skroś te lasy pachnące
topniejącą żywicą — i czuć to słońce,
i czuć ten poszum drzew, i czuć ten
bieg strumieni górskich — i czuć siebie
właśnie siebie stopioną w tem wszy-
stkiem, ~~przez te~~ w ramy ujęte, ogarniętą
tem wszystkiem, może upodobnioną,

może jedną z tem wszystkiem...
Idę łączką, niewielką, pofalowaną, ka-
mienistą. ~~Istot~~ Rozsiadły się na niej
kępkami goryczki o szafirowej, tak szczy-
rej barwie, że wprost ku tej barwie
wyciągają się chciwe ręce, topię w nich
chciwe oczy... Dziwny ~~szczęście~~, ~~Dziwny~~
spokój, dziwna pewność, dziwna ~~moje~~ je-
dnolitość w kolorze goryczkowego kwia-
tu. Nie zawiedzie, nie zdradzi i nie
ukrzywdzi... Idę dalej: na stokach ro-
gli, stare, od zimy jeszcze zielenią atła-
snitną pokryte skwerki... Ale ponię-
dzy nimi cud wiosenny: blada, tędrze-
rzawa, figlarna, wesoła zieloność ma-
jowych buków:

Buczki moje, buczki kędzierzawe
Buczki ~~moje~~ cudne, buczki malowane,
Hej! w majowem słońcu wykąpane
Hej! cieszycie oczy moje łzawe...

~~A~~ Potoki płyną: czyste, pełne, wezbrane.
Płyną z szumem, ~~mieniącym z morza~~

płynę z łoskotem, miejscami ze spokojni
większym –, ale płynę, płynę i mówię.
Przecież znam mowę twoją, potoku...
~~Przecież wiem co mi mówisz [illegible]~~
Pochylam się ku tobie, pochylam tak, jak
do ust bardzo mi drogich i słucham.
Mów... Słowa twoje biegną ze strugą
wody w dal, w przestworza, tam,
tam – kędy iść – a ja tu słucham...
Prawda... prawda... „~~Tako~~ po wieki będzie,
tako po wieki będzie"... Wiem, wiem,
... Ustami przywieram do ziemi wiosną
pachnącej. Ustami przywieram jako
do twarzy matki ukochanej...
Ziemio – ziemio – jam ci jest przy
tobie, ja, kruszyna mała, którą
by przygarnąć możesz, pocieszyć zdołasz.
Ziemio, ziemio – tak szczera niosę się
do ciebie, jako do przyjaciółki najdroższej,
tak ci się skarżę, jako tej jedynej
istocie, która ma słuch otwarty na
bóle moje. Ziemio moja, ziemio

~~bardzo dalekiemi, że ta bezustanna zgrzyta~~
~~świadczyła która~~

moja... Leję ~~na~~ ciebie łzy bardzo często i bardzo gorące... Gdy te łzy wypłaną – z duszy mi spada ciężar... Wzięłaś go na siebie, prawda, tyś go na siebie ziemio-matko moja wzięła. Nad głową moją płynie obłok. Przecież to jest prawda najistotniejsza, że ja ten obłok kocham. Cóż to jest miłość? Zachwyt to największy, coś co porusza istotę moją do głębi, coś, co ją pokusza ku czemuś, iść ku czemuś się rwać. Idę ku tobie pozłotacie obłoku czerwonego... Idę... oto już ku tobie lecę... Białe twoje, rozwiewne skrzydła pochylają się ku mnie i unoszą mnie. Opalowe bieli obłoku, oto i ty za miłość mi płacisz: płynąc tam, w górze, dobrotliwie nad głową moją przechodzisz i pieszczotą ją białą darzysz... I tylko mi jeden straszny smutek wgryza się do serca: czemuż ty precz odbiegasz obłoku biały...

... A może tak, jak i ciebie kocham powiew wiatru... Siedzę dziwnie umęczona, dziwnie smutna, dziwnie samotna, ach tak, wiecznie ~~samotna~~ na łóżku mojej niemocy. Albo też idę drogą... Po drodze pusto - nikogo... Albo się nawet czasem kto zjawi, ale przed tą twarzą obcą kurczy się i zamyka samotna, wiecznie samotna dusza moja. I jest mi nieskończenie źle... I przerasta myślę: kiedy się skończy, a skończy... tam... w otchłani w nicości... I od tej myśli ~~dławi~~ i od tych nerwów wypełza długi, ogromny wąż, który ciało moje owija, duszę moją owija i skrętami swojemi dławi... dławi... dławi... I wtedy gorzej mi jest, niż gdyby przepaść tylko stała przedemną. Bo to nietylko przepaść, ale cała istota moja bólem zasiana... Jestem jako ten trup, którego powierzchnię obsiadły wszystkie robaki i skórę toczą, i mięso toczą, i kości toczą... Zanim stoczą one wszystko, zanim

Nicość powstanie —— wstręt, obrzydliwość zgroza ..... I ty wtedy ~~powiejesz~~ na mnie wiatrem... Ty przychodzisz do oczu moich, dotykasz policzków moich, wśliźgujesz się pod sukienkę moją i niemal do kości dobierasz i dobrą twoją, twardą trochę, ale bardzo, bardzo uczciwą dłonią budzisz mnie... I kiedy obudzisz przynosisz nutkę jedną, małą nutkę uśmiechu. W usta moje kładziesz najmniejszy z promyczków i mówisz: popędź go, i rozpłomień go i rozszerz go...

Wichrze mój, przyjacielu, wichrze mój zbawco, wichrze ty, silniejszy ode mnie. Bo oto gdym się o ciebie oparła – odleciała zła rzeczywistość a dobre wróciły sny...

I myślę czyż ciebie nie kochać najgoręcej i najwięcej tobie nie błogosławić!

.... Idę, idę po przez wiosenne łąki i lasy.... Kłaniają się wam, raduję,

radują... Dziękuję wam ptaki za
to iż dopuszczona jestem do życia waszego. Słucham tych pieśni, które śpiewacie
i pojmuję wszystko... Ogarniam i moją
myślą dolę waszą, troski wasze, bóle wasze. — Wszystko to prawda ... dziś ciepło, słonecznie, pięknie, a co jutro
będzie, jutro, o którem, wy starzy
ptakowie wiecie, które chłód niesie,
głód niesie, zgubę niesie.... Więc słucham jako pouczacie syny wasze i
córki wasze i wszystkie prac — która nie wie... — I myślę tak: gdybyście nagle naukę wstrzymały,
gdyby oni wszyscy wołanie tylko
dniem dzisiejszym słonecznym żyli?
Gdyby były tylko dla dnia dzisiejszego pojęci....Cóż wy na to ptaki z lat dawnych doświadczeniem, cóż
wy na to? — To tylko taka, ma
ta uwaga moja, to uwaga człowieka

b. doświadczonego i b. samotnego.... Ileż raz własną myśl, jakiem by było cudem cieszyć się bezwzględnie. Ot, co mnie złudy stoczą po głowie wyżej, bodaj na śmierć stoczą.... Ale to uwaga bardzo cicha, bardzo cicha, nie narzucam jej wam, ptaki leśne, wam którzy napewno lepiej wiecie i więcej wiecie umieli jak umieli każdy mnie podobny...

... I jezioro te zapachy wiosenne. Te od lasów płynące żywiczne symfonje, te od każdego rozwiniętego listka subtelne, przesubtelne wonie, te od ~~ze~~ ziemi ostre, żywe, surowe podniety... Czuję jak daleka jestem od tego iżby was w pełni pojąć.... Usta moje rozchylone, i oczami rozwartymi patrzę przed siebie i ramiona wyciągam moje... iżby nieznane pochwycić.... Poję się, i drżę całem ciałem upita, szczęściem.

Czuję, że przesiąka mnie pewność jakaś, dar jakiś schodzi na mnie, że staje się ze mną coś, gdy wżyj mnie coś w jakąś topiel, że chyba jestem jako ta lilja wodna – na wodzie leżąca i ze wszech stron, ze wszech stron wodę swego życia zamknięta .... O wodo życia mojego! Noce bezsenne pędziłam, w trwach i żalach dnie jeden za drugiem przebiłam – –, smutki mi oczy wyżarły, duszę ~~za~~brały, serce ćwiartowały! O wodo życia mojego – szukałam Cię pośród ludzi, czynów ludzkich, myśli ludzkich! I szukałam Cię pośród bólów ludzkich i mąk... Szukałam Cię w sercu mojem własnem i myśli mojej własnej... Wodo życia mojego, gdzież Cię znaleźć?...

Wodo życia mojego – chyba zejść musisz do mnie, bo jakiżbym inaczej męczenia dłużej trwać mogła? I

podróżnym, nieszczęsna, w ostatnią prze-
spadała — tę najpróżniejszą, najczar-
niejszą padć! — Gdy pomyślę, że
odczuję — tę jedyną prawdę kt. cze-
ka na mnie — wytrzymać bólu w sobie
nie mogę, wyrywa się on ze mnie
i krzyczy, i wybiega, i szuka, poprzez
wszystkie mury i ścianki, które lu-
dzie wznosili, które ja wznosiłam.
Nie chcę, nie chcę cierpieć dłużej, nie
chcę się gryźć, i łamać, i kazać, i
w rozpaczy prawie, i zębami zgry-
zać i codzień tysiąckrotną śmiercią
umierać. — Wodo życia mojego!
spłyń na mnie! I roztop mnie w
sobie, i unieś mnie z sobą, i błogo-
sław mnie, na głowę zlej kroplę oleju
świętego, na serce zlej kroplę balsamu
kojącego... Wodo życia mojego ramio-
na wyciągam, ramiona moje niecier-
pliwe.... I oto idę lasami, łąkami,

posłaniu, i oto czuję... jako krople wody życia wnikają we mnie... Nie mam już słów na błogosławieństwa... Oczy moje pełne są słodkich łez... Matko, daj mi twoją starą, pomarszczoną rękę, — usta chcę przycisnąć do niej moje.....

Matko-ziemio... ty mi nawet dłoni nie podajesz... a ja ci dziękuję; czujesz, jak ja całem sercem mojem dziękuję za wszystko co czynisz dla mnie... I oto znowu przypadam ku tobie... i oto znowu z tobą jestem, z tobą - - - - -

---

Jest cudna na świecie łąka. Nie pamiętasz jej może, nie wbiły ci się w pamięć wszystkie jej piękności, owa zieleń jasna tej trawy, owo złoto ciemne jaskrów i to bledsze morelami pachnących kluczyków... Może zapomniałaś jak wtedy nad nią świeciło słońce, jak ku niej z lasu pobliskiego dolatywały poszumy świerków i woń żywiczna, ta woń, ta jedyna woń na świecie lasu szpilkowego rozgrzanego słońcem. – Może nie pamiętasz tej takiej chwili w której chmurka nadbiegła słońca weszła i złoto jego bogate zakryła? – Może nie pamiętasz tej pary motyli, które to niżej to wyżej unosiły się nad kwiatami łąki, bujały nad rozradowaną wiosną ziemią, opuszczały się ku niej, to znowu wznosiły, aż znikły nam z przed oczu, dwa owe motyle skrzydlate, jasne, radosne, młode...
I myślę – czyliż to wszystko Ty pamiętać możesz. Bo jeśli pamiętasz tę łąkę

59 2

i ten dzień, i tę chwilę słoneczną, i je-
śli pamiętasz ten zapach ziemi wiosennej,
i tę barwę jaskrów i ten lot motyli,
– natenczas i mnie pamiętasz, i mnie pa-
miętasz, i moje oczy wpatrzone w ciebie,
i moje usta spragnione pocałunków two-
ich – i moje ramiona, które wyciągałam
ku tobie – Była to chwila bardzo dziwo-
Łąka, kwiaty, niebo, ~~słońce~~ słońce
i ty... ty... Ja nie umiałabym nazwać
uczuć moich, wyliczyć myśli moich,
~~raz zanalizować~~ wydobyć jeszcze raz na
światło co było we mnie... Nie umiała-
bym nazwać chwili –, która była obfi-
ta szczęściem samem... Patrzyłam w
oczy twoje... i widziałam cud jeden,
jeden ogromny, prawdziwy cud. – i
czułam, że cud <u>to mój</u>. Mój własny
to był cud... Całowałeś mnie, ~~t~~ ta-
go, gorąco mnie całowałeś... Moje usta
poddawały się pieszczotom twoim, moje
usta słodycz ust twoich piły...

Twtedy czułam strach... Tak - był to strach... A od oczu tylko twoich, od tych oczu cudów - spływał na mnie ten wyśniony czad... Nie żądaj mnie, nie żądaj - oczy tylko pokaż swoje...
Dziwne ty masz oczy, dziwne oczy...
Gdybyś tylko kazał mi - poszłabym w otchłań każdą... Gdybym się umiała modlić - dziękowałabym niebu za te oczy twoje... Gdybym umiała żebrać - żebrałabym o oczu twoich spojrzenia...
A w chwili, w której umierać będę pomyślę: oczy jego już zgasły - to będę mogła umrzeć natenczas....
- Więc nie pamiętasz mnie dzikiej - tej roześmianej... i z serca ci wybiegło wszystko inne...
~~Myślę, czemu Ty tak, a nie inaczej~~
I tej radości nie pamiętasz wielkiej...
Byliśmy dziećmi... biegliśmy obok siebie jak rozigrani, roześmiani... Cieszyłeś się, żeś mnie w biegu prześcignął. Opuściłam głowę ku ziemi i naśladowałam płacz.

61. 4.

Wtedy to
Podszedłeś ~~wtenczas~~ ku mnie i pierwszy to raz poznałam usta twoje...

Nie wiem czym uczułam coś ku tobie, czy li ku pieszczocie twojej... Uczułam, że jesteś ~~i żeby~~ takim co uczynić ze mną co ~~zechcesz~~ wszystko...

Nazywają to pewnie „bezwolnością" kobiety... Ja miałam lat 17, ja już dawno śniłam snami zamglonymi o pocałunkach twoich.

Ja... tęskniłam ku niemu.... Natenczas w chwili tej, wydobyło się z głębi mojej coś, co ~~był~~ jest chyba treścią mojej istotną...

Ty wiesz... ty wiesz.... I zawstydziłam się potem okropnie....

Usta twoje... tak usta twoje, które poznałam...

I łąka, i kwiaty, i oczy twoje, i twoje usta palące... one natenczas były...

Potem świat biegł swoją drogę...

Podobno wiele, wiele chwil uleciało od tamtej chwili.... Ona mi została w pamięci żywa. Taka żywa, że łatwo mi wydobyć ją, wpatrzeć się w nią, wsłuchać – i znowu czuć, znowu czuć...

To nazywają rozmarzeniem. Podobno ludzie jak ja, którzy marzeniami żyć pragną i marzeniami żyć tylko mogą — szkodliwymi są czynnikami w zdrowem społeczeństwie. Oni są jako martwe, kamienne słupy, pośród żywego, falującego tłumu. Kamienie to, które ani rosną, ani owocu nie dadzą... A któż wiedzieć może, że kamienie te mają serca? I jakie serce! Żywe, tętniące, krwawiące... Że one krwią nie drzewiejsze spłyną — cóż z tego? Ale to jest taka żywa, taka purpurowa, taka gorąca krew, jakiej nie dostrzeżesz w tysiącach najlepszych na pozór serc...

O krwi moja z ran tryskająca, ze wspomnień moich, ze wzruszeń wewnętrznych zali że nie palisz ty ogniem prawdziwym. Moja miłość, miłość moja —, ta największa prawda życia mojego, ta świętość jedyna, ta godzina najdostojniejsza. Zaliż mam zapomnieć o tobie, a więc

63 6

o wszystkiem zapomnieć. — — A te chwile — a te wzruszenia krótkie, w których rozegrywały się całe dzieje, w których pisały się całe poematy, w których powstawały i ginęły potoki czynnie, wezbrane, żywe — chwile te, czyliż nie wszystkiem jestością w życiu mojem?

Bo czemże właściwie jest ono, to życie moje? Pojonię za wspomnieniami, przeszczeniem wspomnień poprzez mgłę oddalenia, budzeniem tego żywego czucia, któryby wygasł inaczej. Nie dam mu umrzeć... Nie dam gubić się samej sobie w przepaści... Nie dam nad sobą ciemnościom zawisnąć...

Tych parę chwil żywota miałam w ręku i usta kładę na te koralowe, drogocenne zaręczenie.

I cóż to było? Cóż to było wszystko. Było to, że Ty i ja zapragnęliśmy ~~wo~~ wody życia. Ty i ja, którym dotychczas na ziemi było: niezrozumieni.

A dla ciebie pozostała mi wdzięczność, wdzięczność ogromna. – Nie myślę o Tobie inaczej, jako o tym, który dobry był, słodki był, miłowany był. – Dziękuję ci. Dziękuję ci z głębi mojego bolesnego dzisiaj serca, które po to tylko bije we mnie, by przeszłość wywoływać.

Dziękuję ci. Jedyne uczucie, które mnie zostało – jest wdzięczność bez granic. Czy za to ci mnie siebie dał, czy za to ś mnie samą obudził – nie wiem... Twoje oczy śnią mi się... Chwytam te sny prawdy mojej spragniona... Miłowany, dziękuję Ci, że mi się w snach bodaj jawisz.... Podobno pomiędzy nami życie i ludzie dzucili wiele goryczy, wiele rozleli jadu, przepaści wykopali, i wypełnili je piaskami ziemnymi.... Pewnie... pewnie... Życie przeszło po nas... Po tobie wody, który inoce się i zgiąłeś pod niem, – i po mnie ono przeszło, która się niema

~~Czyli~~:

Jedna ręka jest tylko na świecie,
Czyli pomnisz tę rękę kochany,
Poszum borów po nad ziemią leci,

65 ~~28~~.

zdruzgotałam. ... Ale cóż znaczyć to dla mnie może? – Prawda, cóż to jest wszystko? –– Tamta chwila była najprawdziwsza, i najdroższa, i jedyną... A gdybym raz jeszcze, w smutnym dniu dzisiejszym – wczy twoje spojrzała – byłyby one także jak i w ten czas. I gdyby nawet powiedziano mi: już go nie masz, ja bym zawsze jeszcze radowała się tamtą, minioną chwilę. Taką była ona dla mnie treści pełną, i słodyczy pełną...

I tylko rozmyślam niekiedy czemu zawdzięczać mogę miłość twoję. I boję się, że obwdziły je może włosy moje długie, albo ręce moje, albo suknie moje lekkie, białe... Miły, miły, powiedz: i ty że pokochałeś mnie za oczy moje. Spojrzałeś w nie i już wiedziałeś jakie dno serca mego. Patrzyłeś w nie – i sięgnąłeś do głębi

mojej: Oto ci otworzyły jedyne drogi prawdy mojej. Bo ja oczy włożyłam całą duszę moją, bo ja nie chciałam ani włosów mych długich rozplatać przed tobą, ani suknią się stroić naję ani uśmiechu przybierać na usta. Chciałam, abyś mnie całą miał. Więc duszę moją w moje włożyłam oczy. Zamieszkała tam ona i radowała się tobie i mówiła do ciebie. — ~~Gdybyś chciał~~ I powiedziała ci wszystko. Nie chcę abyś co innego pomyślał o mnie nad prawość serca mojego. Bo uczyniłbyś mi krzywdę wielką. Serce moje — zaświeciło i zadrżało się ku tobie całe. Kiedy w innych chwilach po przez życie szłam i serce rozwierałam własne — mę jednokrotnie wszystkim ono stłoczyło i nie otwierało się oczom ludzkim. Tobie otworzyło się serce moje. Patrzyłeś w nie i widziałeś je. ty jeden..

Jezus Marya jakież ja tęsknię do Ciebie.
Oddałabym na świecie wszystko, wszystko,
za to, żebyś tu koło mnie był, i żebym ja
patrzeć na Ciebie mogła i rękę moją na
twem czole położyć... Zimną mam w tej
chwili rękę, wisi bezwładna wzdłuż mojej
zwykłej, czarnej sukni... Kiedyś powiedział-
eś, że ~~ręki~~ dłoni mam dobrą, kojącą... Przybliż
się żebym otoczyć cię mogła...
Przybliż się... Nigdy, nigdy, jedyny...
Jest przecież radość istnienia Twojego na
świecie..., jest radość wspomnień na-
szych... i jest ta wieczna niezasypana
przepaść smutku rozłąki...
Przybliż się... Wołam cię usty spra-
gnionymi, wołam Cię ogromną tęskno-
tą duszy mojej, wołam cię całą dziecka,
cała rozedrgana, cała bolesna...
Wiem co znaczy oddalenie Twoje...
Gdy Ciebie nie mam — wżerają mi się
w serce ~~[illegible]~~ jady wszystkie, i serce
to tryją. ~~poniewierają~~ oręczęk je...

68 11.

O gdybyś Ty był! — Czyż i Ty pojąć
zdolny jak się zmienia świat na je-
den dźwięk Twego imienia, jak się
przeinacza wszystko dookoła — gdy pa-
trzę na Ciebie … Czyliś Ty zdolny po-
jąć jakie moje tęsknoty za tobą ogromne
i bezbrzeżne …. Ja poprostu niewiem
jak oddać moją …, ja poprostu nie wiem.
~~Ustom moi~~ Piersiom moim brak tchu,
stopom moim brak ziemi do stąpania.
Kwiaty powiędły i gwiazdy na niebie
obce mi są … I wszyscy bedzie ~~obcy~~
~~mi~~ dalecy mi bardzo …. Moja mała sio-
strzyczka — nie śmieje się już dawnym
swym, dobrym śmiechem, — mój ~~ukochany~~
~~pies~~ [illegible] ~~m~~

Bez kresu

Podeszła znowu ku oknu pani Janina. Tak, chwila się zbliża, otóż zaraz, zaraz już nadjechać winien. Zadudnią koła na gościńcu daleko, za lasem, — potem powóz przez mostek drewniany cichej, bez hałasu przejedzie, potem przez ~~łączkę~~ łąkę ~~krótką~~ i wtedy już go z okna widzieć będzie, gdy się gościńcem na przeciw ciągnącym potoczy aż ~~do br~~ przed bramę zajezdną. Uśmiech na twarzy pani Janina miała, uśmiech ten dobry, ten nieznany dawniej, przeczuwany zaledwie, wytęskniony, czekany.

Słodko, słodko na sercu. Z tego serca wschodzą się jasne przędze na cały świat, i cały świat ogarniają i plączą oczka dookoła rzeczy każdej, myśli każdej

pragnienia każdego.
Wspomnień wskrzeszać nie trzeba.
Niech leżą pogrzebione, potargane, stargane, na nicość, na zagładę ~~skazane~~ przeznaczone. Niech leżą tam w głębi, w przeszłości, która jak sen zbyt prędko przeszła, by nie wrócić. Niech nie mówią już nic ustom, które ongiś przy nich bladły, sercu, które wtedy przy nich umarło.
O jakiż dziw! Przeszło — jak zły sen, jak dławiąca mara, przeszło, iżby nie wrócić, i oto ta nowa droga, ~~dzi~~ nieoczekiwana ~~złota~~ cudna, szczerozłota droga...
I poczuć się taką inną, taką odrodzoną życiem samem! Królewno ty życia czaro ty złocona — ku tobie tylko me usta! Życie cudzie ty jeden! Uśmiechu ty jeden! szczęście ty jedyne.

Patrzy na suknię swoją Pani Janina, na suknię białą i strojną, na ręce własne piękne, młode, świeże... Wie że i twarz ma młodą i piękną, czuje że przyszła na nią chwila, w której siebie jest pewna, i życia, i słońca. Na drogę spogląda, ucha nadstawia, i nie słychać jeszcze dudnienia kół, ani tententu koni, nie widać jeszcze ~~z pa~~ ~~gościńcem~~ z za lasu wynurzającej się sylwetki powozu.

~~Nie stała tak~~ O jak już dawno nie stała przed tymi oknami z wyczekiwaniem takiem i oczu nie łzyła i radością nie promieniała. — Dawno, dawno, a nigdy może, ani pewnie i wtenczas, kiedy młodziutkiego panicza Stasia oczekiwała, jadącego z kolei, ona młoda, dziecko jeszcze Janka.

~~A potem~~ Mnie czekała tak, gdyż nie wiedziała czego ~~oczekiwać~~ spodziewać się może. Młodą także była, nieźbudzoną do życia. Była ~~nie~~ świeżym pąkiem w kwiat nie rozkwitłym jeszcze —

A teraz — jakże jest inną i dojrzałą, życia świadomą i szczęścia pragnącą. —

Tak, tak, stoicie wy w zapomnieniu straszne, przeszłe lata, zamierzchłe w pamięci, jakościé w rzeczywistości zamarły.

Życie, życie ciężką ręką dotknęłoś serca i myśli — a otośś i rąbka cudownego uchyliło.

Przeszło... przeszło... Pani Janina głowę pochyla.

Był to dziwny wówczas ranek. Dziadek do siebie zawołał. Twarz jego wygolona, świeża, zdawała się bardziej świecić, Ręką wielką gestykulowała żywiej, a

małe siwe oczki przymrużały się żywo pod zmarszczonymi powiekami.

– Chodź tu Janiu, chodź, mamy z sobą do pomówienia....

I wtenczas nie patrzył na nią. Głową ku ziemi opuścił, a głos jego nabrał nut szorstkich a krótkich.

– Chciałem ci powiedzieć, że dziś znowu pan Andrzej o twoją rękę się oświadczył.

– wiem.. wiem, mówił, gdy dziewczyna drgnęła, wiem, że ci co innego w głowie. Stanek, student, młokos....

Jak chcesz, zresztą, ale ja o tym panu wiem rzeczy nie zupełnie ~~dobre~~ miłe...

.... Żeni się ... dodał bardzo cicho...

Jani krew cała odbiegła ~~do~~ serca.

– Żeni się, powtórzył dziadek, spojrzał na nią wzrokiem, w którym było bardzo wiele współczucia i nagle zbliżywszy

Szanowny Panie!

Równocześnie z listem min. wyp[rz]ą...

Tam należne za drukowanie V

74 ~~str.~~ 6.

się, ustami drżącymi scroda się dobkuj:
— Żal mi ciebie, żal... ale cóż na to?...
— A Andrzej dobry, kochany człowiek — i ciebie szczerze kocha... A to znaczy, to wiele znaczy...
— Dziadziu, skądże to, dziadziu, kto mówił...
— Mam list — pisze jego matka wprost do mnie — a tu — wskazał na papier na stole leżący...
— Nie on sam?
— Nie, on siedzi w Dobrzycie, zdaje się podobno z Nienką — matka w rozpaczy, o radę mnie prosi.
— Dziadunie...
... A dla ciebie, widzisz, moja rada — nie pamiętać, Andrzej dobry, i kochany człowiek, kocha ciebie, to znaczy...

75 7.

Andrzejową została wkrótce. I ani wrzeź działa, że taki ciężar życie podoły na serce.
Nie wiedziała ona, tak młoda, że bólu pierwszego, drugim bólem zgłuszyć nie można, że nie można złamanego serca dawać w ręce, które dla ciebie życia są żądne. I były chwile bardzo złe.
Jej własna dusza konała z żalu, i dobra dusza Andrzeja w smutek się pogrążyła beznadziejny. I już nie wiedzieli jak żyć, jak sobie samym w oczy patrzeć, by nam własnych odbicia nie widzieć.
Aż oto przyszła najgłębsza dla Ż[illegible] rana. Nagle, niespodzianie umarł Andrzej, umarł i zabrał ze sobą nadzieję niespełnionego szczęścia i bóle, które mu czekał od życia.

Janina została sama, młoda jeszcze,
a już b. zmęczona.
I oto ~~nagle~~ uchylają się inne wrota.
Powraca ~~Staś~~ Stanisław, Staś

Słońca!

Chcę czegoś — i pragnę — i pożądam — i w tęsknocie się gubię.
Głowę ku górze unoszę, — ponad niebo — najwyżej — w niebo spoglądam.
— Widzę Słońce! —
Tarcza słoneczna ogromna, silna, czerwienią gore!
A na ziemi bezduszne martwe mgły!
A mgły się ku górze unoszą — blask biorą — Słońce biorą —
O jak pragnę!
Słońca przejasnego! Życia mojego!
O jak pragnę!
Purpurą jego oblać się chcę i na promieniach płonących płynąć chcę —
Wysoko — przed siebie — w nieskończoności.
— A mgły szare, nieprzejrzane po świecie idą —
A mgły unoszą się ku Słońcu, widok jego kryją. —

– A ja pragnę!
Płomieni tych krasnych, co w oczy mo-
je blaskiem szczerym uderzą.
I tego żaru, co z wysokich niebios spły-
nie na mnie. –
Słońce za mgłami – za mgłami – –
– Więc moją głowę w żarna kładę i purpu-
rowe krople krwi własnej widzę...
– Więc do serca się dostaję własnego, szybko
rozdzieram bolesną pierś i z serca leję
całe rzeki, morza całe płomiennej czer-
wieni: – – krwi mojej.

Samotność.

Dzięki Ci Panie, że jednak czasem można być samotnym.

Zamykam się w sobie i widzę nie siebie — a świat. Zapominam o drobniach, a na olbrzymiej wyniosłości wznosi się dusza moja i okiem ogarnia krąg bezmierny. — Jakoć niezmiernie jestem ogniwem — mam w sobie wszystko, by ujrzeć całą tę treść.

~~Dzię~~ Dzięki, Ci Panie, za chwile prawdziwej, spokojnej samotności.

Gubię siebie, i małą myśl, i ciche kołatanie serca. Powstaje przedemną wszystko istniejące — i ~~wz~~ ~~dz~~ spoczywam w ogromną, otwartą głąb.

Dzięki Ci Panie za chwile szczerej samotności.

— A jest jeszcze ta radosna samotność, co mi łzy do oczu pędzi. — Nad nędzą wszelaką żebraczą i nad bólem każdym, i nad ciemnią zwisającą ponad głowami wielu —

I serce moje wylewa ze siebie uzbierane dobra.

— ~~Płyną~~, ~~Płyną~~ (w schodzą w szeroki świat, z którego były przyszły do mnie. — Odpłynęły ku źródłom

dwoim wzbrane ręki. —

Dzięki Ci Panie za tę radosną samotność

— A najsilniejsza jestem, Panie, w samotności bolesnej!

Przychodzi ona, a ból obejmuje serce i ~~jej~~ wysoko je nad ziemią unosi.

Na ~~dole~~ nizinie pozostaje powszedniość, pozostaje pył szary, bagno grzęskie.

A ja, na szczytach — w ogniowym bólu gubię serce moje.

I jestem tak samotna — jak jedna cy na słońcu.

Dzięki Ci Panie za samotność bolesną!

Fragment. X

+ Gdy... wy nie macie pojęcia ile szczęścia, ile bezgranicznej rozkoszy leży w tem słowie wieczna cisza, spokój! Nie, to ani opisać się nie da, ani wypowiedzieć, ale dusza sama rwie się do tej błogiej upragnionej chwili, trwającej wieczność całą...

Pomyślcie, ni jednego bólu, ni skargi, ni jęku, ni złości ludzkiej, ni nieszczęścia, ni złego, nic, nic, tylko spokój, spokój taki, że cię porwie całego i zanurzy w sobie i ty w nim zginiesz, przepadniesz i nie ockniesz się ani dla łez, ani dla szczęścia. Cisza grobowa, wieczna! A wiesz li co to wieczność? To ta mgła oddalona, która zda się świat cały ogarnia jak on jest długi szeroki, a ogarnąwszy tak go tuli do siebie, tak obejmuje, że on znika w niej, a pozostaje ona sama wszechwładna, wszechpotężna. +

— — — — — — — — — — — —

Na zakręcie schodów spostrzegł posłańca niosące-
go maszynę do szycia. Jeden jéj pedał, uwią-
zany sznurkiem uderzył o ~~stopnie~~ z głu-
chym dźwiękiem o stopnie. Ten mały łoskot
wywołał chwilowy, nerwowy rumieniec na twarzy
idącej za posłańcem młodéj dziewczyny, pewnie
szwaczki i właścicielki maszyny. Biała gęsta
woalka ~~osł~~ osłaniała ~~wdzięczne rysy~~, ~~które~~
~~mogłyby się stać ozdobą niejednéj właścicielki~~
~~eleganckiego bu~~ parę czarnych, dużych oczu
, ~~rysy~~, ~~któ~~ otoczonych głęboką, ciemno sinią
obwódką. Twarz cała wydawała się w kolorycie
szarym; ~~bladość ust nie odbijała nawet~~
~~blade wargi~~. patrząc na blade, skurczone wargi,
niestarannie utrzymane czarne włosy, na
rękę okrytą ~~rę~~ czarną rękawiczką, któréj szwy
bielące się X — — — — —

X

Życie na jawie.

Człowiek blady, z wyblakłemi oczyma podaje urzędnikowi zegarek — „Pięć rs." mówi urzędnik — sześć panie — „nie pięć lub zabierz pan sobie. Bledemu człowiekowi stanęła przed oczyma żona patrząca na niego błagalnie, córka, szwaczka, której tyfus wyprowadził na policzki dotąd ~~je~~ nie obce rumieńce, — ~~tym~~ schował ~~tę~~ prawą rękę z zegarkiem do kieszeni, wyjął ją, znowu schował, aż nareszcie nerwowym ruchem wydobywszy zegarek podał go urzędnikowi mówiąc: daj pan 5 rs. — Teraz czekać musiał na napisanie kwitu, z kt. przeszedł do drugiego okna i dostawszy pięciorublowy banknot ~~ści~~ ~~ścisnął~~ włożył go do pustej portmonetki i odszedł z nim dalej... Panie za kratkami ciągle targowały srebrne lichtarze; garbata ze złośliwym uśmiechem

położyła na szalkie mały, damski złoty zegarek, na którym napisane imię Lina - zdawał się świadczyć, że należał on kiedyś do młodej, pięknej, pewno wesołej i zalotnej właścicielki. Szacha - popatrzyła na zdobycz i stojącą znawczy porozumiewająco na swą towarzyszkę, jęła urzędnikowi tłumaczyć dalej, że się prawdziwie dziwnie płacę po 250 r. za wszystko, że ten mały zegarek należy im się stanowczo, jako powetowanie drogiej ceny lichtarzy i serwisu stołowego.

Blady człowiek powoli schodzić zaczął ze schodów. Myśl jego pracowała nad rozwiązaniem kwestyi ile dać lekarzowi i ile kosztować będzie zapisane lekarstwo. Lekarz, lekarstwo, mięso na rosół dla chorej - i z pięciu rs. zostanie znowu mało, a pensyę w biurze dopiero I-go dostać może.

1.

Czy zna pani upostaciowanie dusz w kształ-
cie ognia, światła, płomienia, błysku -
w kształcie wszystkiego co w sobie samem
ma moc świecenia i przez to właśnie
świecenie świat dookoła siebie leczy z otchła-
ni ciemnych wydania, z miłości stwórcy,
z bezmiaru w granicami objęte strefy
wydźwiga? — Może się pani w tym po-
chodniowym, w tym palącym, w tym świa-
tłodajnym pochodzie nie rozglądała nigdy,
więc ja, której się przed chwilą, niespo-
dzianie, nad głową rąbek zasłony uniósł
- rękę pani podaję - i chodźmy.
Oto, widzi pani przed nami dusza - płomień.
Ale niech pani patrzy, to płomień ujęty
w kształtną, w artystycznym kroju wyrobioną
umbrę. Dziwnym aż olśniewającym urobił się w
niej zamkniętym ogniu. Jakżeż on ~~jest~~ wyrazi-
ście dookoła siebie kształt każdy oświeca. Dzi-
wiście i umiejętnie. Ale przydaje [illegible]

wielkości ni wybujałości żadnej, — a i cieniów głębokich nie rzuca. Do za wiele w nim uczonego artyzmu, aby zakreślać w krainy przeciwieństw, może poszumów, może paradoksów... Pali się białym, równym, wyniedzonym – a jasnym płomieniem. To jego główna zasługa.

Nie zatrzymujemy się przy nim długo, patrz pani przed nami nową pochodnię. Nie będę się silił na zgłębienie w jakiej postaci węgiel w niej się spala. Prawda, pani nie żądała odemnie opisu pierwiastków, związków, ciał chemicznych. — To takie nudne! Przed nami tylko efekty się przesuwają, te śledźmy. Ale już co do tej pochodni – to nie zmienne zjawisko trudno śledzić. Patrz pani, wiatr powieje – to się jej płomień gdzieś wygina, a z ogniska taki dym bucha, że aż wszystko głuszy. Patrz zaraz – słabszy płomień rozwesela

blask, prawda pani, widzisz w nim na-
wet śmiech prawdziwy, młody, bez troski.
A teraz, cóż się ten płomień tak sroży,
cóż tak rozwiewa dokoła? Eh, straszy
go, on chce pusto strachy stworzyć, uda-
je, że się srozi, że się rozwścieczy,
a my widzimy przecie, że wszystko dobrze
przeciw wybrykom jego zabezpieczone...
— A lubisz pani kominkowy ogień?
Tak ci się drewka palą, migają jasne,
dobre, wesolutkie takie, ciepła pełne.
Może przystaniemy tutaj. Prawda jak
się nam uśmiechnęły obydwom twarze,
jak w myśli zaświtały szczebioty, dzie-
cinne uśmiechy, jakaś dobra, łagodna
kaola. Mój Boże, do tego kominko-
wego ognia czasem w życiu się schodzi
jakby do nie wiem jakiej mądrości,
a to takie proste, to tak samo w
sercu leży. — —
Idziemy dalej. Płomienie świec: dobre

poczciwe, które lada zapałka wzniecić,
lada podmuch zagasić. — Widzimy dale
żarzące się ogniska, gdzie i sztuki wiele,
gdzie i naturalnej siły wiele także.
Obrzućmy na tę elektrycznem świa-
tłem ~~po~~ płonącą, spojrzeniem [?]. — Pani, praw-
da, że siła w niej jest, i jest dużo świa-
domość tej siły, i że ona daleki promień
dookoła siebie kreśli. Prawda Pani?
Ale czemu Pani mnie się wydaje, że
to światło jest zimne? Tak, pani
<u>zimne światło</u>, może dla tego właśnie,
że takie bardzo doskonałe i takie umiejęt-
nie rozumnie przydatne. — Może pani sądzi,
że mi do głowy przychodzą, ot takie pu-
ste, beztreściwe porównania, ot takie, byle
dźwięk jakiś wydobyć z ust, byle tylko
myśli zakreślić słowa? — Ale, ja
tak czuję. Zresztą, pozatem, zwiedzający [?]
pani pokrótce prawie wszystkie
płomienie mieszkające w tym zamku [?]

tym gmachu. Widzi pani, to jest muzeum
w którem są dusze-płomienie na pokaz.
Przechodziłyśmy koło kilku i jak mówię,
żeśmy widziały wszystkie, bo inne tylko
też same byłyby powtórzę. Wszak tak jest
zawsze w muzeach, tj. w tych budowlach
które ludzie stawiają, by w nich zamknąć
stworzone przez siebie arcydzieła. Tak,
jak gdyby oni rzeczywiście na tych arcy-
dziełach się znali! — Więc pani, idziemy,
prawda, Chciałabym pani świat
jeszcze pokazać po za tym uznanym przy-
bytkiem. Zresztą nie przeczę, że to
co pokażę i inni znają wybornie i
również cenią, i również im istnieć
pozwalają. Tylko... widzi pani, jeszcze
nie ~~zdołali~~ zdążyli na to wszystko nałożyć pła-
szcza i w tym płaszczu do środka gmachu
przenieść... Więc to wszystko pozostało
nazewnątrz i lepiej ~~z tem tem~~ się
stało, bo tam jest przestronniej. —

Pani, ale wiesz co mi na myśl przychodzi, oto my ledwie, że niecałe sześć kroczymy w kraj tobie najbliższy, bo też najlepiej znany. — Czy za złe mi to będziesz miała? Czy mnie gorzkiem obrzucisz spojrzeniem? Czy uśmiechniesz się nad moją gawędą szczerą i czasu dalej tracić nie zechcesz? Pani, jednak ja mam słuszność, to twój kraj bardzo bliski, te ognie które dojrzymy — znane ci będą — wśród nich bowiem własną twoją duszę napotkasz. — Spojrzałaś na mnie. Jednak w człowieku jest zawsze wiele ciekawości dowiedzenia się co inni o nim sądzą. Choćby to byli całkiem inni, choćby to byli tacy, co oczyma nie wszystko widzą, albo za wiele widzą... Ot ciekawość, i tyle. Ja sama mam tej ciekawości sporo w sobie... Jak to mówią? Homo sum... Oj homo, homo, homo, gdzieś aż od

matkę idzie – a niewiadomo kędy mu zakończyć pożycie, gdy wedle mniemania swego, wszystkie zagadnienia bytu rozwiąże

Wczoraj przy Cioci Klarze rozpuściłam włosy - Ciotka wykrzyknęła zdziwiona:

Mój Jezu, jakież ty masz prześliczne włosy.
- Wiem o tem, mam długie, delikatne i w ogromnej masie włosy czarne, jak hebanu.
Wiem o tem, przychodziło mi to nieraz na myśl, gdy z trudem włosy te czesałam, przychodziło na myśl, gdy patrzyłam na obrazy, gdzie kobiety mają rozpuszczone włosy. - Jak to je zdobi! jak to je otacza! Od tych fal jedwabnych - płynie dusza życia taka wewnątrz ukryta, a prawdziwa, prawdziwa. - Ja moje „fale włosów" skręcam ciasno w węzeł z tyłu głowy, a z przodu gładko je szczotką przygładzam. Przywykłam do tego, uważałam to za najodpowiedniejsze uczesanie, były czyste i gładkie zawsze były. - Teraz czuję, że bogactwa w nich zamknięte do grobu chowałam.
Długie moje rozpuszczone włosy, które na ustach purpurowe życie, i pocałunki żywe gorących ust - pocałunki gorących ust. -
Gdy to piszę - pojmuję, że się staję niewłaściwą i „pospolitą" w zwykłem tego słowa znaczeniu. Ale i ach mają, moje rozpuszczone włosy, i

87 2

i ty twoji namiętne — ty przedewszystkiem.
Okropne to być takiem osobowiekiem — zawieszonem — okropne. —
Nie myślałam o Kazimierzu lat tyle, i teraz nie o nim naprawdę myślę, nie o nim, ot tylko o kimś, ktoby był jak on niby. Ktoby jak on budził dreszcz we mnie, dreszcz trwogi czy pożądania?
I co się z moim duchem dzieje?
Dziś miałam lekcję z Zośką. Jej złote kędziorki i różowe delikatne usteczka nie dawały mi spokoju.
Tę kochać będę. Ta mi koyć, ani mi wystawić ci pożar nie będzie. Jest urodzona na to, by w dłonie do niej garnęli się wszyscy, a więc i ten, ktoby ona zapragnie.

Zmysłowość jednak jest obrzydliwa, wstrętna. Pamiętam scenę i pamiętam wrażenia moje z pobytu Lolki i Zdzisława u nas.
Gdy weszłam do salonika zastałam ją siedzącą na krześle i pochyloną na przód. On przyklęknął przy niej — rozwiązywał czy zawiązywał bucik. — Sukienkę Lolka miała podniesioną wysoko, — pończochy ażurowe,

śliczne, półwabne podwiązki. Scena była przez nię urządzona z premedytacją. Jedna z takich scenek podbiła Zdzisia. Ludzie ci pokochali się, kochali przed ślubem, po ślubie nie długo podobno — Lolka o dalszym ciągu próbowała różnych sztuczek swoich powabów na różnych indywiduach. — Już coś miała takiego w sobie. Ten jej jeden, w ten sposób zdobyty — nie wystarczał. — Myślę o sobie. Zabym za nic, za nic — w jej ślady nie szła. Czyż to teraz, gdy tyle rzeczy pojmuję — ale wtedy byłam poprostu Lolką zgorszona i nienawidziłam ję. — Myślę, że w niej nie samiczka działała nawet, a jakaś maniacka wola. Czy ja wa

---

Kazimierz zachwycał się zawsze moją pracą pedagogiczną, miał dla mnie zawsze „uznanie i szacunek" — czyżby nigdy więcej nic?

Co to jest? W pamięci mi stoi chwila jedna. Szłam przez oddalony pokój siostrzyczek. Kazimierz właśnie malował. — Patrzył na mnie, nagle od ust postał mi całusa. — Udałam, że nie dostrzegłam, wyszłam pośpiesznie. Wstydziłam się okropnie, nie wiedziałam za

siebie czy za niego. – Wstydziłam się okropnie, i żeby nie cierpieć postarałam się zupełnie wymazać z pamięci. Nigdy się to już nie powtórzyło, nigdy. – I temu rada byłam nawet.

Wesoły

popieo Kościuszki – jeden z najpiękniejszych widoków na świecie... Szeroko... i ma gdzie pobujać rozżrana dusza. Szeroko... Niebo rozpięto się na wyżynie takiej i w dali takiej i w tem ogromnem przestworu powietrznem tonąć... i tonąć...
Szeroko! Tchu zachodzić w piersi, wiatrem się tym więścym obwinąć, myśli poszybować... poleciec!...
Dolina wiślana srebrem wody na prawo miga...
Równoległa biała linja szosy. Zdają te dwie jasne drogi na ziełonych cieniach pola...
~~jak~~

81

Na prawo miasto—
o ty grobie! grobie królewski
Wawelu stary— stąd z górz
nej wyżyny widać i ciebie
na wyżyny podniesiony.
Stworzą zwarte ciemne mury
na prawo wieżyce Katedralne
na lewo baszta ~~[illegible]~~ oderz
wana od całości.
I jednak, mimo wszystko
królują stare zamczyska
kiedy mi pobiegną oczy
ku ciemnym wrótom—, każ
trzymają się, przykute
siłą tych murów towarzyszą
cych—
O ściany — wy pamią
tek pełne, o odległe
wy, pomarłe chwile, które
jak żywe jeszcze serce
skierujecie biciem...

Zielone mało łanki pól.
Drogi białe w jakieś dali
biegnące... Srebrne baniaste
pagódy wiolańskie... 92
I ten kościół... ten kościół
Dwuskrzydły ptak do
odlotu już gotów...
Przysiadł tylko na chwilę
po nad zieloną ciemnią
lasów, przysiadł odł na-
brać w siebie musi,
raz jeszcze drogę ~~do~~
wyznaczoną spojrzeć...
O tylko jedna chwila,
jedna krótka chwila...
pod ten szeroki strop
nieba wyleci... wybuja...
Wszędy otwarta droga...
wszędy przestwór jednym
głosem wołający...
Leciec... Lecieć... Le-
cieć...

poczuć w sobie swobodę
tę niczem niepowstrzymaną —
Lecieć!... nic nie mając
coby za skrzydła chwy-
ciło... nic nie mać,
coby ~~na ziemi~~ wolę
wstrzymało ---- Jeden
tylko ogromny krzyk
w tę nieobjętą przestrzeń
Lecieć! lecieć!
Mknąć —

Przypominała sobie chwilę po-
dobną na ścieżce (gdy przy niej
stał ów student życia żądny)

Kopiec Kościuszki